Nr. 7 i 8. Kraków, w lipcu 1904 r. Rok V.



Pismo dla kobiet

wychodzi w drugą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie	1 kor.	zagranicą . . .	1 marka
półrocznie . . .	50 hal.	pojedynczy numer	10 gr.

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, II. p.

Nikczemne prawo.

Kiedy cesarz rosyjski wydaje ukaz gwałcący prawa narodowe i obywatelskie Polaków, siła naszego oburzenia zmniejsza się przez poczucie, że jest to przemijający kaprys despoty, wodzonego na pasku przez drapieżną klikę dworską, kiedy jednak sejm pruski, zatem ciało, będące przedstawicielem ogromnej części narodu niemieckiego, uchwala z zimną krwią, a nawet wśród nikczemnych naigrawań, ustawy, łamiące konstytucyę poto tylko, aby Polaków zniszczyć, wówczas braknie nam wszelkiego wyjaśnienia podobnej zaciekłości, takiego zaślepienia i takiego podeptania głównych zasad etyki chrześcijańskiej. Prawda, że i w Prusiech klika dworska nie wiele się różni od rosyjskiej, prawda, że i pruscy ministrowie są bandą spekulantów, pozbawionych wszelkich uczuć ludzkości i szlachetności, prawda wreszcie, że i w Niemczech heca antypolska jest dobrym interesem dla urzędników różnych kategoryi, ale zarazem niepodobna zapomnieć, że bądź co bądź kultura niemiecka starsza, bogatsza i silniejsza niżeli rosyjska, powinnaby przedewszystkiem działać łagodząco na narodowe i polityczne przeciwieństwa.

A jednak większość sejmu pruskiego uchwaliła jednę z najniesprawiedliwszych, najniegodziwszych i najniemoralniejszych ustaw, jakie kiedykolwiek wymyślił mózg przesysony nienawiścią i pożądliwością...

Uchwalono ustawę, której jedynym celem jest powolne wywłaszczenie włościan polskich i usunięcie ich z siedzib zajmowanych od lat tysiąca, która odbiera Polakom pierwszą podstawę życia społecznego, t. j. własność ziemską, która wreszcie jest zuchwałem wyzwaniem wszelkiej sprawiedliwości. Ta uchwała sejmu dowodzi dobitnie, że jednak cała tyle sławiona nowożytna kultura pruska, jest tylko sztucznem przysłonięciem wewnętrznego barbarzyństwa i dzikości.

Wiece protestacyjne.

Wiec w Toruniu.

W dzień św. Piotra i Pawła zwołany został wiec w celu zaprotestowania przeciw projektowi antypolskiej ustawy osadniczej. Zagaił go redaktor p. Pieniężny. Przewodniczącym wiecu obrano pana Świnarskiego z Katarzynki, zastępcą p. Wojciechowskiego z Mokrego. Po ukonstytuowaniu się biura zabrał głos przewodniczący i wyraził żal, że na wiec przybyło tak mało uczestników, bo tylko 200. Przemawiali panowie: poseł Brejski o projekcie nowej ustawy kolonizacyjnej, p. Wojciechowski z Mokrego o szerzeniu oświaty, oszczędności, karciarstwie i pijaństwie, ks. dziekan Odrowski o nowej ustawie i inni. Zebrani uchwalili rezolucyę przeciw projektowi nowej ustawy.

Na wiecu w Kruświcy

uchwalono jednogłośnie następujący protest przeciw ustawie osadniczej:

Zebrani Polacy wszystkich stanów na wiecu w Kruświcy, dnia 29 czerwca r. 1904 w dzień św. Piotra i Pawła, jednogłośnie oświadczają co następuje:

Zważywszy, że projektowane przez rząd pruski prawo o osadnictwie wyklucza Polaków od swobodnego osiedlania się na ziemi, a tem samem narusza konstytucyą, na mocy której wszyscy obywatele w obliczu prawa są równi,

zważywszy dalej, że projektowane prawo, powstrzymując Polaków w tworzeniu własnych zagród, zadaje gwałt najwznioślejszym uczuciom ludzkim, płynącym z miłości i przywiązania do ziemi ojczystej,

zważywszy następnie, że projektowane prawo w granicach królestwa pruskiego ma służyć do pognębienia narodu polskiego, mającego na równi z narodem niemieckim przyrodzone i historyczne prawo do rozwoju narodowego i kulturalnego i

zważywszy wreszcie, że projektowane prawo przedstawia się jako akt przemocy silniejszego, urągający wszelkim zasadom chrześcijańskim i zdobyczom cywilizacyi,

protestujemy uroczyście

przeciwko rzeczonemu projektowi w imię prawa, w imię zasady wolności, chrześcijańskiej sprawiedliwości i cywilizacyi i oświadczamy publicznie, że ku obronie swego bytu narodowego i ku obronie najwyższych dóbr ludzkości wszystkie wytężymy siły, ufni, że to nowe ciężkie doświadczenie z pomocą Bożą przetrwamy nieugięci i niezłomni.

Wiec w Szczakowej,

który się dnia 26 czerwca 1904 r. odbył przy udziale przeszło tysiąca ludu polskiego z Galicyi, Górnego Śląska, a nawet Królestwa Polskiego, był wzniosłą manifestacyą uczuć narodowych i zagrzmiał głośnym protestem przeciwko nowej antypolskiej ustawie kolonizacyjnej, nad którą dziś właśnie obraduje w Berlinie sejm pruski.

Prócz programowych przemówień gospodarza p. Kupca z Łąki i posła Korfantego, zabierało głos jeszcze pięciu mówców z ludu, między nimi także pewien robotnik z Galicyi, wszyscy protestując przeciwko nowej grożącej nam krzywdzie i zachęcając do wytrwałej i gorliwej pracy w tej walce o byt narodowy i gospodarczy i do pielęgnowania cnót obywatelskich.

Zbiorowym wyrazem tych skarg i protestów była uchwalona jednogłośnie i z zapałem następująca

Rezolucya.

My zebrani dnia 26 czerwca 1904 r. na wiecu w Szczakowej Polacy z Górnego Śląska

zważywszy, że projektowane przez rząd pruski prawo o osadnictwie wyklucza Polaków od swobodnego osiedlania się na ziemi, a tem samem narusza konstytucyę, na mocy której wszyscy obywatele w obliczu prawa są równi,

zważywszy, że nowe prawo szczególniej na Górnym Śląsku da się we znaki robotnikom naszym, oddając ich na łaskę pracodawców,

zważywszy dalej, że projektowane prawo, powstrzymując Polaków w tworzeniu własnych zagród, zadaje gwałt najwznioślejszym uczuciom ludzkim, płynącym z miłości i przywiązania do ziemi ojczystej,

zważywszy następnie, że projektowane prawo w granicach królestwa pruskiego ma służyć do pognębienia narodu polskiego, mającego na równi z narodem

niemieckim przyrodzone i historyczne prawo do rozwoju narodowego i kulturalnego i

zważywszy wreszcie, że projektowane prawo przedstawia się jako akt przemocy silniejszego, urągający wszelkim zasadom chrześcijańskim i zdobyczom cywilizacyi,

protestujemy uroczyście,

łącząc się do protestu braci naszych z Poznańskiego i Prus Zachodnich, przeciwko rzeczonemu projektowi w imię prawa, w imię zasady wolności, chrześcijańskiej sprawiedliwości i cywilizacyi i oświadczamy publicznie, że ku obronie swego bytu narodowego i ku obronie najwyższych dóbr ludzkości wszystkie wytężymy siły, ufni, że to nowe ciężki doświadczenie z pomocą Bożą przetrwamy nieugięci i niezłomni.

Zgwałcili.

Górnoślązak pisze: zdaje się, że zbliża się koniec parlamentaryzmu w Prusiech. Sposób, w jaki zostało uchwalone nowe prawo wyjątkowe przeciwko Polakom, jest niebywały i bodaj pierwszy w dziejach parlamentarnych. Większość sejmowa, składająca się z konserwatystów i liberałów narodowych wyzyskuje tak ohydnie i tak brutalnie przemoc swoją, że tylko z pogardą każdy uczciwy człowiek może się od tych podpór pruskiej ojczyzny odwrócić. Większość ta nie składa się z przedstawicieli ludu, lecz z potulnych służalców rządu hakatystycznego, posłusznych na każde skinienie rządowi. Dobrze określili się sami przez usta konserwatysty Heykinga, landrata pszczyńskiego, który powiedział: „Jeśli rząd chce tej ostrej broni, musimy mu ją dać, lecz jeżeli ostrze tej broni zwróci się przeciwko tym, którzy jej używają, my musimy pozostawić odpowiedzialność za nią rządowi“. Tak mówi poseł! To już nie poseł, lecz narzędzie rządu. Rząd tak chciał, a wola rządu dla większości jest rozkazem. Bezwstydne było też zachowanie się tych zwolenników rządowych. Z góry sobie powiedzieli: Będziemy rządowi posłuszni i dlatego wcale się nie starali uzasadniać stanowiska swego. Krótkiemi słowy oświadczali swoją usłużność rządowi, a przeciwników nietylko nie słuchali, ale nawet wciąż przeszkadzali wywodom mówców, hałasowali, śmiali się, krzyczeli, tak że mówcy nasi z największą biedą mogli posłuch uzyskać. Najgorszy objaw barbarzyństwa krzyżackiego polega na tem, że posłuszna rządowi większość sejmu przeciwnikom nowej ustawy systematycznie zamykała usta. Jednego z mowców dopuszczała do słowa, potem zamykała dyskusyę. Nowem prawem krzyżacy nowocześni podeptali święte prawa obywateli, ale przy tej tak ważnej sprawie nie pozwolili wypowiadać się tym, którzy chcieli bronić praw ustawami państwa ludowi nadanych.

Całe rozprawy zakrawały na farsę, a właściwiejby było, gdyby hakatyści byli z góry je zadekretowali. Mimo sejmu, w gruncie rzeczy Prusy stanowią dziś państwo absolutne. Rząd robi z pomocą swych służalców, co mu się podoba. Daremne są protesty posłów, strzegących praw obywatelskich. Dla krzyżaków żadne prawa nie istnieją, ale ci bohaterzy nie mają nawet tyle odwagi, aby przyznać, że takie prawa są naruszeniem konstytucyi, nie mają śmiałości wypowiedzieć otwarcie, że chodzi o gwałty, popełniane na ludzie biednym. Nie tylko sami nie mają odwagi wypowiedzieć tego, ale boją się zezwolić na to, aby przeciwnicy ich wypowiedzieli to w sejmie, aby lud się o tem dowiedział i dlatego kneblują im usta, zamykając dyskusyę. Nowem prawem chcą zadać śmiertelny cios ludowi polskiemu, a hakatystyczne pisma trąbiły już całemu światu, że „uchwalenie“ nowego prawa stanowi wielkie zwycięstwo sprawy niemieckiej. Każdy rozsądny człowiek musi się zapytać, gdzie jest zwycięstwo? Boć nie walczyli przecież z nikim, wyzyskali swoją przewagą, zgwałcili mniejszość, zamykając jej usta i popełnili gwałt niesłychany. Położenie nasze bezwawarunkowo staje się trudniejszem, ale od woli i cnót ludu polskiego, od hartu, oszczędności i pracowitości jego zależy jedynie, aby prawo to sparaliżować. My mocno wierzymy, że i te nowe kajdany, które nam narzucono, nie będą w stanie zabić w nas ducha, nie będą w stanie wychować nas na „Prusaków“, jak tego chce p. Hammerstein. Ostaniemy się narodem polskim i unicestwimy niecne zamachy nieprzyjaciół na nasz byt narodowy.

POSUCHA.

Stał sobie Pietrek Podbielaków na miedzy, co się koło pańskiego żyta od gromadzkiego ugoru ciągnie i trzaskał se z bata, bo to jucha wypruł z Maryścinej wstążki jedwab a zrobił se trzaskawkę do batoga. Krowy pasły się na ugorze spokojniutko, ino się od bąków i much ogoniskami oganiały, żadna ta w szkodę nie szła, więc się i Pietrek zagapił na świat Boży i patrzył na te łany, co mu się het kłaniały zbożem, kłaniały srebrem żyta, kłaniały złotem pszenicy, kłaniały aksamitem koniczyn, a brzęczały, a dzwoniły, a śpiewały, od owadów, od kłosów trącających o siebie, od skowronków rzuconych w błękity.

A szły te łany het daleko, zginały się trochę ku zielonej łące, po której biegła struga, i znów skakały do góry bursztynowym łanem rzepaku, a na ich krańcu stał las, niby gospodarz wziąwszy się pod boki, a za lasem, hen, daleko mrok już i sinawa dal, aż gdzieś o Karpaty, o leśne, oparta.

Patrzy Pietrek, patrzy, a tu ci z lasu wychodzi niby jakaś baba, niby dziewucha, idzie polem, przez środek nie bacząc ni na miedzę ni bruzdę — idzie a depce pracę ludzką, a ino się wkoło świecącymi jak żar oczyma rozgląda.

— Cyganka — nie cyganka? — myśli sobie Pietrek, bo ci i gębę miała spaloną i ręce wyschnięte a brunatne, a temi rękami to gładziła kłosy żyta i wąsatą banatkę i kudłaty jęczmień i perliste wiechy owsa. Szła i szła i coraz bliżej była Pietrka, aże zapomniał chłopczysko ze strachu z bata trzaskać.

Ino się krowy pasły spokojnie na ugorze, a w życie świerszcze jeszcze głośniej skrzypiały.

Stanęła ci ona baba przed Pietrkiem i pyta:

— A czyjżeś ty?

— A Podbielaków.

— A skądżeś ty?

— A juści z naszej wioski.

— A do szkoły ty chodzisz?

— A juści.

Popatrzyło się babsko po szerokich polach, po złotych kłosach, po trawach bujnych i rzecze znowu:

— A cóż ty tu robisz?

— A ot, krowy pasę — powiada Pietrek.

— A twój tatuś mają grunt? — pyta znowu baba.

— E! — powiada Pietrek — co ta, że mają; zasiali ci samą jarą pszeniczkę, ta i het bestya posucha wypaliła.

Wzdrygnęła się baba i rzecze:

— A wiesz ty, ktom ja jest? Jam jest Posucha — chodzę po polach, chodzę po łąkach, chodzę po łanach złocistym kłosem dzwoniących, a suchość ze sobą noszę, a ziemia mi pęka pod nogami, trawy mrą i kłosy niepłodne głowy do ziemi chylą.

Pietrkowi się na odwagę zebrało, bo go i złość wzięła za tatusiową jarą pszenicę.

— A pocóżeś ty — pyta — bezkurcyo jedna na nasze łany przylazła? Mało ci to szerokiego świata? na co ci naszej wioski?

Baba siadła na miedzy i spękane, chude nogi, pełne zeschłego błota i pyłu oglądać zaczęła, a wzdychała ino raz po raz, aż mu wreszcie rzecze:

— Długa ci to jest historya, oj długa, ale ci ją opowiem, abyś i innych ostrzegał, a i sam w złe nie wpadł.

„Dawno temu, kiedy tu jeno na tej ziemi lasy rosły a zwierza pełno było, a gdzieniebądź na karczunku i nowinie obfity plon się w złotem słonku kołysał, byłam ja tu panią i władyczką nad tym krajem, jeno mi chyba ptasiego brakowało mleka. Ziemia mnie na świat wydała, ziemia matka, ziemia mnie karmiła złotem ziarn i złotem miodu i chłodem mleka i kwiatów zapachem. Grały mi lasy niby organy, kiedy na nich wiatr organista palcami podmuchów przebierał, dzwoniły konwalie i dzwonki, kłaniały się bławaty, uśmiechały purpurowe maki. Ot pieszczonam była przez ziemię, przez matkę dobrą, alem jej ani kochać nie umiała, ani jej być wdzięczną za ten miód, za te ziarna chlebne, za dyament strumienia, szafiry bławatów, rubiny maków i topazy jaskrów. Innego złota jam chciała, innych kamieni, innego świata.

„Przyszedł rycerz z daleka, przyszedł obcy, nie nasz, nie ojczystą mową gadający i poszłam z nim w dalekie kraje, obce ziemie, i patrz, nawet jednej łzy, jednego westchnienia nie miałam na pożegnanie naszej matki ziemi.

„Rycerz porzucił, obcy ludzie nie przytulili, a ja i wtedy płakałam jeno nad swoją dolą, a nigdy ni łza nie spłynęła mi z oka z tęsknoty za matką, za ziemią. Aż ci przyszedł kres i na mnie, przyszła śmierć niańka, i włożyła do trumny — kołyski.

„I wtedy lęk a żal, a smutek i skrucha wpłynęły mi do duszy, i strach mnie zdjął. Wyprosił ci mi mój anioł stróż czas pokuty, żebym matkę ziemię, com wobec niej zgrzeszyła, przebłagała, przeprosiła i łaskę w obliczu Boga i Jej, znalazła. A jestto pokuta ciężka, bom ja Posucha; jakom dawniej ni kropli łzy dla ziemi, dla matki nie miała; tak i teraz idę, a oschłością serca, a twardością duszy, a bezżalem moim dawnym palę łany, suszę trawę, wypijam srebro potoków, śmierć jeno niosę, śmierć, żar, ja — Posucha".

Otworzył Pietrek szeroko oczy, patrzy i patrzy na babę, przypomniał sobie opowieść o durnym Maćku, co to biedę w kości zaszpuntował, ale ani kości, ani wierzby suchej nie miał w pobliżu, więc jeno westchnął i słuchał, co mu Posucha dalej mówiła.

„Chodzę i chodzę po ziemi mojej, po matce, przeklinana przez wszystkich, mieniam się jeno ze siostrą moją Powodzią, co też za grzechy swoje pokutuje, i złe jeno robimy, a nieszczęście sprowadzamy na was. A będziemy chodzić, póki się czas pokuty nie wypełni i póki Bóg nie przebaczy, matka ziemia w grobie nas nie utuli, bisior trawy na mogiłach naszych nie porośnie".

Wstała baba i chwiejąc się na spieczonych nogach, poszła dalej przez łany, przez zagony, przez rozłogi, a gdy już daleko była, oprzytomniał Pietrek, a złożywszy ręce przy gębie huknął za nią na cały głos:

— A kiedyż się ta pokuta skończy?

Posucha już znikła za zakrętem lasu, jeno kłosy dzwoniły, jeno trawa szeleściała, jeno szumiał bór:

„Gdy ukochacie ziemię, gdy ukochacie mowę, gdy ukochacie strój nasz, gdy się rozraduje w dzieciach swoich swobodna matka — ziemia".

Stach J.

Kwiat paproci.

Z podań ludowych napisał Jan Świętek.

Słoneczko chyliło się ku zachodowi, zapadając powoli za góry i lasy. Ptaszki wykończały jeszcze swe dzienne trele cudowne; bydełko poczęło pomrukiwać, bo radeby już było zażyć nocnego wywczasu. Pastuszkowie, podskakując wesoło, wypełniali swym głośnym śpiewem doliny i jary. Jeden tylko Jantek był dzisiaj jakoś dziwnie rozmarzony.

A wesoły był to chłopak, syn ubogiej wdowy, komornicy. Sieroctwo nie wycisnęło na nim swego piętna. Uśmiech stale gościł na jego ustach, w oczach i igrał po całej jego twarzy. Choć liche łachmany okrywały jego ciało, a dziurawy, słomiany kapelusz, jakby tylko od parady usadowił się na jego głowie, jednak był szczęśliwy. Chrzestni, którym pasał bydło od czasu śmierci swego tatusia, nie żałowali mu jadła, a choć wymyślali, nie bili go przecie. Rówieśnicy przepadali za nim, bo kręcił im długie baty, wyrzynał kozikiem tartaki i młynki, wspinał się po najwyższych drzewach za ptakami.

Było to w wigilię św. Jana. Jantek, zapędziwszy bydełko pod las, usiadł i, założywszy ręce na kolanach, pierwszy może raz w życiu zadumał się głęboko. Po głowie snuła mu się wczorajsza gadka starej Petruchy o kwiecie paproci. „Kto schwyci kwiat paproci — mówiła Petrucha — temu wszystkie otworzą się skarby, ten panem będzie. Lecz śmiałym i ostrożnym być trzeba, aby nie wpaść w ręce złych duchów".

I dumał Jantek o swych bogactwach, wodząc pożądliwem okiem po rosnącej wokoło paproci.

— O mój Jezusińku, co ja nakupiłbym wtedy! — myślał sobie Jantek i zawczasu układał, czem kogo obdarzy.

— Tobie Matusiu — mówił już głośno — kupię kraciastą chustkę, w kwiaty spodnicę, nie jedną... dwie, trzy, cztery i więcej, ile będziesz chciała. Daremnie wołali go towarzysze, Jantek, rozradowany w swych myślach, ani się ruszył.

Zmierzch zapadł. Krowy same poszły za drugiemi do domu, a on ciągle siedział i dumał. Wstał wreszcie, poszukał miejsca, w którem najwięcej rosło paproci. Przeżegnał się i usiadł.

— Tu na noc zostanę, — mówił do siebie. Święcony krzyżyk, który mam na szyi, obroni mię przed dyabłami, będę mówił pacierz za pacierzem, a na ostatku zaśpiewam sobie: „Kto się w opiekę". Matusia mówili, że kto tę pieśń śpiewa, żadne złe nie ma przystępu do niego.

I szeptał po cichu pacierze, bojąc się podnieść głosu, aby złe go nie usłyszało. Drżał za każdym szumem wiatru, włosy

z przestrachu stawały mu kołkiem na głowie, szeroko rozwarte źrenice utkwił w liściach paproci i patrzył — patrzył, aż wreszcie drzewa i krzaki zaczęły maleć, niknąć, rozpływać się i — Jantek zasnął.

Nadchodziła północ. Naraz robi się blask w lesie. Przy Jantku, poza nim, przed nim, wokoło błyszczą, mrugają drobne gwiazdeczki. To kwiaty paproci. Sięga po jeden z nich, urywa i przyciska silnie do piersi. Spojrzy dokoła i widzi kupy złota, drogie kamienie, perły, przecudne tkaniny, a wszystko to tak lśni cudownie, że aż oczy przymrużać musi. Wtem słyszy turkot, i pędem leci karoca, a w niej dyabli. Jeden z nich, wywijając batem, usiłuje czarodziejski kwiatek wytrącić z rąk Jantka. On ściska go atoli coraz mocniej, aż pot występuje mu na czoło i krzyczy, co sił mu starczy: „Kto się w opiekę“. Zmęczony, otwiera wreszcie oczy i nie wie, czy to sen, czy na jawie. Perlistą, w tysiące barw mieniącą się rosę, bierze za drogie kamienie; toż i turkot słyszy w oddali.

— Czyżby dyabli uciekali? — myśli Jantek. Turkot coraz głośniej i bliżej słyszy, aż wreszcie z poza drzew okazała się para koni, ciągnących wózek, z wałkami płótna, a przy nim z batem w ręku kroczy Szymon, tkacz z poblizkiej wioski.

— W imię Ojca i syna... a cóż to za ranny ptaszek? — zawoła z uśmiechem gospodarz, na widok wystraszonego Jantka, ściskającego w ręce pęk paproci. — Cóż ty tu robisz?

— Chciałem kwiatu paproci — odpowie Jantek. — Toć on skarby otwiera, mówiła mi Petrucha, a ja tak chciałbym być bogatym!

Roześmiał się tkacz na taką mowę Jantka i rzecze:

— Weź się chłopcze do pracy, a ta z pewnością otworzy ci skarby... Podobasz mi się i wziąłbym cię do siebie, gdyby twoi rodzice na to zezwolili... Jestem zamożnym gospodarzem, umiem robić płótno, więc tkam w wolnych chwilach i niejeden już grosz za mą pracę do skrzyni schowałem... Pan Bóg zabrał mi jedynego syna; — gdybyś zechciał pracować, chętnie nauczyłbym cię swego rzemiosła.

— O z ochotą pojadę z wami, jeśli ta wasza praca skarby mi ukaże. Matusia mi pozwolą, bo sami biedni, a tatuś to już dawno w grobie. Chrzestni, którym pasę, pewno o mnie dbali nie będą, bo mię już nieraz wypędzali, przezywając urwiszem, darmozjadem...

I poszedł Jantek do Szymona. Był posłuszny, pilny i pracowity. Wyręczał, w czem tylko mógł, swych dobroczyńców; toż oni pokochali go jak własne dziecko, a, widząc, z jaką ochotą garnie się do tkactwa, wysłali go na naukę do miasta, aby tam w szkole zawodowej tkackiej wyuczył się porządnie rzemiosła tkackiego. Po trzech latach wrócił do Szymonów, jako tkacz zawołany. Ulepszył warsztat swego opiekuna, oddał się z całym zapałem tkactwu i ani chwilki nie zmarnował, aby nietylko spłacić dług wdzięczności Szymonom i matce, ale także uciułać sobie trochę grosza, którego dzieckiem tak bardzo łaknął. Dziś już Jantek wie, że kwiat paproci — to praca, która tylko tym skarby otwiera, co szczerze do niej się garną, wie także, że ona hojnie obdarza tylko swych miłośników, a skąpczynią jest dla próżniaków. Żyje też wesół, zdrów i szczęśliwy, szanowany dla swej uczciwej pracy przez całą okolicę. Starą matkę przygarnął do siebie, która, tuląc wnuki, prawi im rozmaite baśnie, nie zapominając i o kwiecie paproci. Mieszkańcy wioski, w której mieszka, jemu też zawdzięczają swój dobrobyt, gdyż wyćwiczeni przez Jantka we chwalebnym kunszcie tkackim i z niego wzór biorąc, nie marnują czasu na próżniactwie, ale pilnie i z zupełną znajomością rzeczy na swych już udoskonalonych warsztatach wyrabiają tak piękne płótno, że przed niem niech się schowają wszelkie tego rodzaju zagraniczne wyroby, a wyrabiają je z przecudnej przędzy, której im wprawna ręka żon, sióstr, córek i matek obficie dostarcza. Niemniej też i okolica, szczerze przez Jantka zachęcana, szle coraz częściej swych synów do szkół przemysłowo-zawodowych, a ci, wyuczywszy się tam tego lub owego pożytecznego rzemiosła, przynoszą tę wiedzę pod rodzinną strzechę i nie tylko sami piękny chleb z niej mają, ale i drugim zarobku nie szczędzą.

Noc świętojańska.

Wierzenia, baśnie i obrzędy ludowe, zespolone z nocą świętojańską, są bardzo obfite. Każda prawie wieś lub grupa sąsiadujących

siół, oprócz zwyczaju sobótki i gadek o kwiecie paproci, które są powszechne, opowiada o coraz to innych czarodziejstwach, spełniających się tej nocy w gąszczach leśnych, na łąkach, na rozstajnych drogach, na falach Wisły i w jej tajemniczej głębi.

W Krakowskiem żyje na przykład w ustach ludu taka opowieść: Dwaj młodzi parobcy, odkąd dowiedzieli się o własnościach kwiatu paproci, zapragnęli zostać bogaczami. Raz się zmówili, że pójdą zdobyć od dyabła kwiat paproci i w noc świętojańską przed północą poszli do lasu. Ale rozsrożyła się nagle gwałtowna burza. Parobcy, wystraszeni grzmotami, piorunami i trzaskiem łamanych gałęzi, walących im się na głowy, rozbiegli się i uciekli. Jeden trafił na drogę i przybiegł do domu; drugi, zbłądziwszy, wpadł między zielska i obalone drzewa, i wśród nich ugrzązł. Kiedy wreszcie burza minęła i powracał do wsi, doznał nadzwyczajnego olśnienia: ziemia stała rozwarta przed jego oczyma, ukazując mu w swem wnętrzu złoto, srebro i drogie kamienie. Powodem cudu było, że podczas brodzenia wśród traw i krzaków leśnych wpadł mu za cholewę kwiatek paproci. Więc zdąża coprędzej do chaty, obiecując sobie, że zaprosi zaraz ojca do pomocy w wykopywaniu skarbów. W chałupie woła od progu: „Tatusiu, cej-co wam opowiem, gdy-ć ja już okrutnie mądry i dyabła się nie boję. Weźcie parę koni, przyprzągnijcie do woza i duchem pojedziewa we świat kopać pieniądze, bo wiem, kaj leżą“. Zawołał także brata i we trzech puścili się z łopatami poszukiwać skarbów. Gdy wyjeżdżali z obejścia, jasnowidzący krzyknął: „Rety, stójcie moiściewy, dy w ogródku za chałupą widzę pod ziemią skarb boski, wielgachny kocioł dukatów; wykopmy go naprzód“. W ogródku było pełno badyli i zielska, aby się w głąb ziemi dostać musieli targać zielsko i rąbać korzenie. Podczas roboty jasnowidzący zdjął buty, z za cholewy wyleciał kwiat paproci, a z nim zniknęło jasno widzenie i złoto pod ziemią.

Między góralami utrzymuje się również podobna opowieść. Pewien góral w wigilię św. Jana o północy szedł w las. Przypadkiem wpadł mu do kierpca kwiat paproci. Zobaczył wówczas skarby w ziemi ukryte. Lecz zanim mógł zabrać się do ich wykopania, zjawił się przed nim dyabeł, prosząc, by zdjął kierpce. Góral, nie wiedząc, o co chodzi, posłuchał dyabła, a wówczas ten porwał kwiat paproci, rozśmiał się i zniknął, a z nim i bogactwa w łonie ziemi.

Bardzo piękna baśń rybacka przywiązana jest do klasztoru Norbertanek nad Wisłą. Kiedyś, przed wielu, wielu laty, w dniu odpustu na św. Bonifacego, wezbrała nagle Wisła i ogromna powódź zaskoczyła pobożny lud, zebrany w klasztornym kościele i tłumnie otaczający go dookoła. Woda przybywała tak gwałtownie, że tysiące ludu potonęły, a wraz z nimi i mniszki, co mężnie i z poświęceniem ratowały nieszczęśliwych. Odtąd co roku w noc świętojańską, gdy północ uderzy i wszystkie wianki odpłyną już i pogasną, dziwny korowód niosą na swych grzbietach fale wiślane. W pobliżu klasztoru poczynają wychylać się z toni blade twarze niewieście z przymkniętemi oczyma i wieńcami białych lilij na głowach. Przed każdą widać żółty płomyk gromnicy, którą trzyma ręka z wody wychylona. Procesya płynie w uroczystej ciszy i milczeniu — tylko zdala dochodzi dźwięk dzwonów zatopionych, tylko biały obłok, dobywający się jakby z kadzielnic kościelnych, osłania cały orszak przejrzystą, mglistą zasłoną... To te, co ongi potonęły, ratując lud, teraz, w noc świętojańską, płyną ogromną procesyą, szepcząc martwemi usty modlitwy za topielców...

PRZODOWNICA.

Ranek przecudny, jak uśmiech dziewczęcia,
Słonko powstaje z purpurowej łoży,
Budzi przyrodę z sennego objęcia,
Ptactwo swem śpiewem wita dzionek Boży.

Nad złotym łanem dojrzałej pszenicy,
Gromadka żeńców stanęła do żniwa.
Kilku parobków, niewiast i dziewicy,
A na ich przodzie dziewka urodziwa.

Liczka ma śniade płonące rumieńcem,
Oczka czarniuśkie, usteczka karminy.
Na głowie chustka kwiecista róż wieńcem,
Kibić jej wiotka jakby u kaliny.

To przodownica żniwiarzów królowa,
Sierp zaostrzyła — w imię Ojca, Syna...
Daj Boże szczęście, Matko Jezusowa!
Pochyliła się i żąć rozpoczyna.

I płynie naprzód przez złociste morze,
Które faluje powiewem wietrzyka,
A za nią reszta zżyna sierpem zboże,
Ona na przedzie „umyka“, „umyka“.

Jak błyskawica sierp w jej rączce chyżej,
Już się odżęła daleko, daleko,
Do końca łanu coraz bliżej, bliżej,
Strumienie potu po liczkach jej cieką.

Już jest na końcu, gdy reszta w połowie,
Znojną twarzyczkę fartuszkiem ociera,
Zburzone włoski poprawia na głowie,
Dumna, szczęśliwa, boczki „se“ podpiera.

Dumna... po prawdzie, jednak ma być z czego,
Bo też poszukać, jak ona dziewica,
W każdej robocie nie ma jej równego,
„W tańcu, różańcu“, wszędzie Przodownica.

Jantek z Bugaja.

Benczyn, 26 czerwca 1904.

Opis przygód niejakiego Jana
w wojnie z Moskalami,

naprowadzonymi na Polskę przez Targowiczan, w celu obalenia Konstytucyi 3-go maja.

(Wyjątek z powieści Jeża p. t.: „Całe życie w niewoli“ — do obrazków w tym i poprzednim numerze umieszczonych.

W chorągwi Jana, towarzysze, dawnego trzymając się obyczaju, mieli wozy własne, na których służba wiozła zapasy podróżne. Wozy wyglądały rozmaicie -- niektóre należały do rodzaju kolas, inne były to wasągi proste, płótnem na obręczach naciągniętem okryte. Jan zaopatrzył się w pakowną brykę krakowską, ciągnioną przez trzy tęgie konie i obsługiwaną przez dwóch pachołków. Wybrał się na wojnę z żoną i dziećmi, których mu Pan Bóg dał był już dwoje: chłopca imieniem Józef i dziewczynkę Marysię. Chłopiec liczył lat dwa, dziewczynka była przy piersi. Wybrał się z niemi na wojnę — bo — i gdzież je miał zostawić?

Trudy zaznaczały się wraz z chwilą wymarszu z domu. Z początku szło jako tako, mimo przykrości, jakich doznawać musiała w obozach kobieta z dziećmi. Przykrości się potęgowały w miarę, jak się armia naprzód posuwała.

Spotkanie z nieprzyjaciółmi wypadło pod Boryszkowcami. Rozłożono się obozem. Obóz obstawiono wartami. Wojska uszykowano w porządku bojowym, na wypadek, gdyby przeciwnik wyruszył przededniem i napadł przed świtaniem. Szyk ów stanowiła przeważnie piechota; jazda zaś, ustawiona w głębi, nocowała przy koniach posiodłanych.

Bryka Jana zajęła zwykłe miejsce. Pachołkowie wyłożyli konie i ustawili je z tyłu za bryką przy drabinie, za którą było dla nich siano. Nad ogniskiem, na koziołku wisiał kociołek, a w nim się dogotowywał krupnik jaglany na wieczorny dla młodego małżeństwa, starszego dziecka i pachołków, posiłek. Kobieta, trzymając pod piersią dziecko młodsze, co chwila tych ostatnich zapytywała:

— Nie widać tam pana?

— Nie... — odpowiadał raz jeden, znów drugi, a w odpowiedzi ich znać się dawał zły humor, właściwy ludziom zniechęconym i zrażonym.

Zniechęcała ich wojna z Moskalami. Mówili do siebie: Gdy Moskale zwyciężą, łby nam poucinają.

Ten był złego humoru pachołków Jana powód, do spotęgowania którego przyczynił się jeszcze deszcz ulewny. Pani Janowa nie dziwiła się ani ich odpowiedziom krótkim i szorstkim, ani rzucanym na stronie klątwom, ani głuchemu, krzątaniu się przy bryce, koniach i ognisku mruczeniu. Niepokoiło ją nieprzybywanie męża, którego przez dzień cały nie widziała z powodu, że chorągiew jego w tylnej szła straży.

— Nie widać tam pana?

— Nie.

— Czemu tak długo nie przybywa?

— Może nie przyjdzie wcale — mruknął jeden.

— Co ty gadasz!... — odparła tonem przerażenia.

— Czyż nie słychać było po trzy razy strzelaninę!

Kobieta strwożona przygarnęła dzieci do siebie i przeżegnawszy się, szeptać poczęła: „Kto się w opiekę“.

Nie domówiła jeszcze psalmu, kiedy chłopczyk wykrzyknął:

— Tata! tata!

— Gdzie? — zapytała.

Jan zazwyczaj konno przyjeżdżał i pani Janowa w codziennych na przybycie męża oczekiwaniach, tak słuch wprawiła, że rozpoznawała parskanie, nieledwie chód karego jego wierzchowca. Parskanie, ani chód koński słyszeć się nie dawały. Oglądnęła się jednak i nagle ujrzała męża przed sobą.

— Och Jasiu! — westchnęła.

— Cóż? zdrowiście? — zapytał przysiadając i biorąc w objęcia chłopczynę, który od matki do ojca się pogarnął.

Pani Janowa opowiedziała mu w krótkości historyę dnia, osnutą około trudów podróży po rozmiękłej drodze. Dzieci, Bogu dzięki, zdrowe były; Marysia jeno marudziła trochę, ale prawie cały dzień przespała.

— Byle mnie w nocy nie budziła... — dodała i zapytała z troskliwością:

— Cóż ty?

— Czuję się zmęczony trochę...

— Słychać było strzelanie...

— E... to kozacy pukali, aleśmy ich przepłoszyli...

— Czemużeś nie przyjechał, ale piechotą przyszedł?

— Dobrze, żem przyszedł... Ledwiem się wyprosił na zastąpienie szeregowca, którego powinienem był posłać po siano, a sam zostać przy koniu... Moskale nam na pięty następują... towarzysze przy koniach być muszą.

— Ty jednak zostaniesz z nami — wtrąciła.

— Na chwilkę... Wieczerza gotowa? — zapytał, wskazując oczami na kociołek.

— Od godziny już...

— Hej! — krzyknął Jan na pachołka.— Przystaw nam tu kociołek, a potem zwiąż mocno wiązkę siana, ażebym ją zabrać mógł pod pachę.

— Siano przecież pachołek za tobą zaniesie... — zauważyła pani Janowa.

— Niech on zostanie przy bryce, którą opatrzeć potrzeba.

W chwilę potem małżeństwo wzięło się do jadła, czerpiąc wprost z kociołka i dmuchając w łyżki. Jan jadł sam i syna karmił. W krupniku ugotowana wędzonka uzupełniała wieczerzę z dodatkiem chleba razowego, który z bochenka nożem składanym młody towarzysz krajał dla siebie i żony. Jedzenie nie zabrało czasu dużo.

Jan, skończywszy się posilać, pachołków obydwóch przywołał.

— Czuj duch!... — przemówił do nich.— Jutro przed świtem powinniście być gotowi do drogi. Bryka?... — zapytał.

— Niczego... — odpowiedział jeden.

— Osie?

— Całe.

— Sprychy?

— Trzymają się.

— Obody? obręcze?

— Nie puściły.

— No, za pierwszem pobudki odezwaniem się brykę posmarować i zaprzęgać. Dobrzeby było — dodał — konie napoić, bo się na grobli nie zatrzymamy, a tam dalej, Bóg wie, czy się do Połonnego trafi, gdzie wodopój dla koni...

Pachołkowie rozkazów w milczeniu wysłuchali i, gdy odeszli, pani Janowa męża zapytała:

— Więc my do Połonnego?

— Trakt tam prowadzi...

— A z Połonnego?

— Słychać, że nie pójdziem dalej. Postawimy nakoniec Moskalom czoło... Trzeba, żeby już oni przed nami rejterowali.

Młoda kobieta z głębi piersi westchnęła— w tem jej westchnieniu zawierała się strzelista do Boga o powodzenie dla oręża polskiego modlitwa.

— Na winne zbić ich musimy jabłko — dodał. — Pod Połonnem zejdziemy się z Kościuszką.

— Bogu niech będą dzięki — odrzekła tonem otuchy.

— Bogu niech będą dzięki — powtórzyła.

— No... a na mnie już pora — odezwał się Jan, wstając i chłopca swego na ręku podnosząc.

Wstała i pani Janowa. Chodziło o umieszczenie matki z dziećmi w bryce na noc. Mąż żonie pomagał. Na jednej ręce trzymając chłopca, na drugą wziął obwiniętą w poduszkę dziewczynkę i podawał następnie dzieci jedno po drugiem pani Janowej, która do środka bryki się wdrapawszy, wyciągała po nie przez wysoką drabinę ramiona. Gdy od dzieci się wyzwolił, Jan na stopień wstąpił i do wnętrza zajrzał. Nachylonego za szyję objęło ramion dwoje, dwoje ust złączył długi, serdeczny pocałunek; po pocałunku słyszeć się dały niewieścim głosem wymówione wyrazy: „Niech Bóg i Matka Najświętsza nad tobą, mój Jasiu czuwają!“ — po wyrazach tych Jan wnętrze bryki nakreślonym w powietrzu krzyżem przeżegnał, ze stopnia zeszkoczył, wiązkę siana z rąk pa-

chołka wziął, pachołkom czuwanie ostro zalecił i odszedł.

Brykę od stanowiska chorągwi dzieliła przestrzeń spora. Więcej aniżeli kwadrans upłynął, zanim Jan siano rzucił przed karym, który do kołka uwiązany i rozchełzany, czując inne konie żujące, kręcił się niecierpliwie. Zarżał, gdy się pan jego do niego zbliżał.

— Pilno ci do żarcia.. he? — odezwał się Jan — masz.

Rzuciwszy siano, opatrzył wędzidła i popręgi.

Wkrótce potem słyszeć się dały strzały alarmowe.

Zaledwie jutrzenka na widnokręgu wschodnim znaczyć się poczynała, przybiegł do chorągwi adjutant od generała z rozkazem, wzywającym do jak najspieszniejszego poprężenia koni, munsztuczenia i wsiadania. Wykonanie rozkazu nastąpiło niezwłocznie. W chwil kilka później chorągiew w szyku pochodnym z obozu w kierunku Lubaru wyciągnęła.

Chodziło o dwie rzeczy: o trzymanie w oddaleniu Kozaków, alarmujących obóz i o dostanie języka.

Chorągiew się z jednego i z drugiego wywiązała należycie. Kozaków przepędziła i w odległości ćwierć mili od obozu starła się z podjazdem moskiewskim, któremu urwała jednego szeregowca i jednego podoficera. Od nich generał dowiedział się, że cały korpus znajduje się w ruchu na drodze do Boryszkowiec. Potrzeba było przeprawę naglić i osłonić.

Przeprawa Janowi ustawicznie w głowie tkwiła. Żona i dzieci z myśli mu nie schodziły. Nie zdradzał się z tem atoli przed nikim. Od czasu do czasu od niechcenia niby, raz tego, znów innego zapytywał o wozy:

— Czy przeszły?

— Przechodzą zapewne — dawano odpowiedź.

— Żona... dzieci — w duchu sobie powtarzał.

Naraz działa się odezwały: buch!... buch!... Zaczęły działa polskie.

Po chorągwiach konnych i pieszych słyszeć się dały komendy, które donośniej zabrzmiały, gdy nastąpiło odpowiadanie artyleryi nieprzyjacielskiej. Kolumny polskie na miejscu się trzymały, niektóre posuwały się naprzód. Chorągwi, w ktorej Jan służył, nakazano zaatakować oddział jazdy, co okazywała zamiar obchodzenia pozycyi polskiej. Chorągiew się do ataku uszykowała, ruszyła i jazda nieprzyjacielska się cofnęła.

Niebawem później nadbiegł adjutant, przywożąc rozkaz manewrowania celem osłonięcia usuwających się ku grobli kolumn.

— Trzeba — mówił — ażebyśmy Moskalom okazywali ochotę działania zaczepnie.

Jan, rozkaz ten usłyszawszy, powstrzymać się nie mógł od rzucenia adjutantowi zapytania:

— Wozy?

— Co? — odparł zapytany.

— Czy zeszły na groblę wszystkie?

— Zdaje się.

Odpowiedź ta tknęła Jana. Adjutant odjechał, on się do namiestnika zwrócił.

— Pozwól mi waszmość skoczyć...

— Dokąd?

— Chcę się dowiedzieć do bryki mojej.

— Odejść musiała — odrzekł namiestnik — bo i jakże...

— Chcę się przekonać — podchwycił Jan tonem, w którym zabrzmiał dobitnie niepokój ojca i męża.

— Ruszaj! — rzekł dowódca.

Jan konia zwrócił, ostrogi mu dał, z miejsca cwałem się kopnął i w chwil kilka później dotarł na miejsce, gdzie chorągwi jego wozy noc spędziły. Przestrzeń cała opustoszała z wyjątkiem jednego punktu. Na pustym, zdeptanym resztkami zmierzwionego siana i spopielałemi ogniskami upstrzonym placu stała — bryka jego. Dopadł do niej, konia na miejscu osadził i wychylającej się ku niemu z obliczem łzami zalanej żonie zapytanie rzucił:

— Co to!?

— Na pachołków czekam...

— Gdzież oni?

— Konie do wody poprowadzili i nie wrócili...

— Łajdaki! skórę z nich żywcem pozdzieram!

Spojrzał ku stawowi, konia zwrócił — pierwszym popędem jego było gonić, ścigać i już był poskoczył, lecz się wnet zmiarkował. W duszy mu rozpaczliwe zawyło zapytanie: „co tu począć?“ Jął się dokładnie oglądać. Potem z konia zsiadł i poprowadził karego ku dyszlowi, przy którym leżały przysposobione do zaprzęgu szle.

Prowadząc konia modlił się gorąco. Potem, spojrzawszy na karego, rzekł:

— Koniu mój, koniu... w tobie ucieczka i nadzieja cała... Kary, ulituj się nad ojcem...

Koń szedł i głową kiwał, jakby na znak, że rozumie. Jan go wzdłuż dyszla ustawił.

Bryka minęła obozowisko, minęła ubocz, wydostała się na drogę i z drogi na groblę w samą dobrą wjechała porę, wyprzedziła bowiem jaszczyki artylerzyskie i działa, co wkrótce po niej nadciągnęły. Musiałaby była czekać, aż przejdą i byłaby nie przeszła. Pod jednym z jaszczyków załamał się most. Z tego powodu dział siedem własnych Polacy zagwoździli i w staw zepchnęli z grobli, na której naprawa mostu zabrała czasu nie mało i spowodowała w zabitych i rannych stratę około 900 ludzi.

Jan, dzięki karemu, uratował żonę i dzieci. Konie od zepchniętych z grobli dział posłużyły mu do dowiezienia bryki do Połonnego, gdzie zaopatrzył ją w zaprzęg świeży i oddał pod dozór wiernego szeregowca, postawiwszy na miejscu jego w szeregu innego, w miasteczku zwerbowanego.

Dalszych przygód Jana nie można zamieścić dla braku miejsca, powiem na zakończenie jedynie tyle, że towarzysz, który w tak niezwykły, iście cudowny sposób uratował żonę i dzieci, po skończonej wojnie na wsi zamieszkał i do śmierci nie zapomniał karemu przysługi, jaką poczciwe zwierzę oddało zrozpaczonemu ojcu, na grobli boryszkowieckiej.

Konia swego otoczył pan wygodami, codziennie w stajni poczciwe zwierzę odwiedzał, darząc je pieszczotą i przysmakiem. Przysmakiem dla karego była kromka chleba ze solą. W wygodach i poszanowaniu doczekał kary późnej starości, wreszcie śmierci.

Opowiadanie Tekli.

— To sześcioro mieliście dzieci?

— Tak, tak, pannuńciu, było tego, kiej pisklątek w gniazdku; trzech chłopaków, trzy dziewuchy, a wszystko kiej ten krzemień mocne, a zdrowe, a wesołe, a żwawe, kiej hań te rybki w potoku. Ot i dwie niedziele nie wyszły, a moje robaczki wszystkie se na mogiłkach legły — oj dolaż moja dola!

Jakosi na samą Zielną, najstarszy chłopak pierszy zachorował, wzięła go zimnica tłuc, radziłam co ino kto gadał, ale nic mu jakosi nie lubowało. Trzeciego dnia zrobił się cały czerwieniuśki jak sukno, a piątego Bogu duszyczkę oddał.

O Matko Jezusowa! co ja się nieszczęsna napłakała za onym Józkiem, ani ja przeczuła, że mi wszystkie opłakać trzeba. Oj pannuńciu, pannuńciu! zanim my Józkową trumienkę zamknęli, dwoje najmłodszych nie żyło. I żeby to we wsi dzieci chorowały, ale nie, ino do naszej chałupy chorość taka paskudna się przyczepiła i zagryzała moje niebożątka.

Jak my już Józka i tamtych dwoje świętej ziemi oddali, a tych troje zaczęło postękiwać, tak ja mówię do mojego, pożycz ty szkapy od somsiada, a jedź dochtora przywieź albo co. Ale jak to nie usłyszy Maciejowa, jak mnie nie ofuknie! A to dochtór peda to, a to, to, jak nie zacznie nam przedkładać, a to wy myślicie, że dochtór za darmo przyjedzie? dochtorowi trza osobno zapłacić — w aptece osobno, a wszystko nic nie pomoże, bo jak taki dopust Boży jest, to i dochtorskie pukanie nie zradzi nic! a zresztą co dochtóry — dochtór zna się ino na pańskich chorościach, a na chłopskie najlepszy chłop. Ano ja wam rzekę tak, idźcie wy do Jędrusia wróża, do tego co to w Łopiance siedzi, on na różne chorości liczy w oczynieniu. Jak łońskiego roku Kasprowej kołtun się sprzeciwił, to ją bez trzy niedziele tak łamało, że się w niej ledwie dusza plątała, a jak jej jakiegoś ziela uwarzył, niby ten Jędruś, i do trzeciego razu nad głową jej przelał, tak i ozdrowiała.

Ano tak mój wzion dwie kury, półkwaterek masła, krzynkę sera, bo to on, widzi pannuńcia, pieniędzy nie bierze i poszeł: jakosi to było w piątek na wieczór czy w sobotę, a nie, w sobotę a ino, akurasik na święto przedzwaniali. Jak poszeł, tak ja ani spała ani jadła, inom się ciągiem modliła, żeby zaś abo drogi nie zmyluł, abo wróża zastał, a moje robaczki choroba w oczach jadła. Z poniedziałku na wtorek jakoś zaraz z północka wrócił mój stary i zaraz z proga woła ku mnie: Aj, Magda, Magda, wisz ty, że to bez mój upór pomar Józiek, Zośka i Hanka, oj dolaż moja dola! ja sam niewiedzący na swoje dzieci nastawał. I jak nie zacznie zawodzić, aże mnie strach wzion. A gadajże — mówię — co ci wróż rzek, nie wydziwiaj, bo mi dziecka pobudzisz! a on ino drze się za włosy

i jęczy. Dopiro za jakie dwa pacierze mówi: Oj mądry ten wróż, mądry, zaraz poznał, że nam dzieci chore, inom wlaz do chałupy i Boga pochwalił, a on zaraz, żona wam chorzeje? Ej nie — gadam — a on na to, dzieci, prawda! On już na to nic, ino wzion kryde i jak nie zacznie coś pisać i pisać po stole, tak zarysował cały stół. Potem natarł dwie nogi od stołu jakiemś zielem, a na dwóch wyrysował krzyżyk i znowu wzion się przypatrować temu pisaniu i kiwać głową tak, to nie tak, aż w końcu rzek: Ano samiście se winni, widzi mi się. Mojego aż ciarki przeszły — a bez co, pyta? To nic nie jest — prawi mu Jędruś wróż — ino nieczysta sprawa, kiedy powiadacie zarazy na dzieci nie ma, a wam troje zmarło, troje chorzeje, to już pewnikiem złego robota. Nie robiliście kiedy co bez siłę — pyta, a mój zaczon deliberować i spomniał se, że robił; tak mówi: jakoś będzie ze dwa roki na jesieni, jakem stajnię stawiał i jeden kół na nijaki sposób w ziemię leźć nie chciał, alem się tyla namordował, ażem go bez mus w ziemię wpakował. Ano, widzicie — rzecze na to wróż — to i cała wasza bieda, wbiliście dyabłu kół w łeb i teraz wam psoci, idźcież co tchu do domu, rozwalcie stajenkę, wyciągcie pal dyabłu ze łba a dzieci wam ozdrowieją.

Oj, moja pannuńciu, jak mi to dopowiedział, jak ja głupia nie skoknę, a nie krzyknę na niego, toś się nie mógł brać odrazu do roboty, ino tyle czasu marnować, a pójdźże co żywo! Wyprowadziliśmy jałówkę na oborę, a sami jak zaczniemy drzeć łaty, deski, to się ino echo rozlegało. Gwoździe nam palce szarpały, pot oczy zalewał, aleśmy sobie nic nie sfolgowali, co się nie dało oderwać, to mój toporem łupał, byle ino duchem skończyć. Do rana ani śladu nie było ze stajenki.

— I pomogło? — spytałam kobiety.

Łzami się zalała.

— Oj, pannuńciu, pannuńciu — zawołała — Pan Bóg nas pokarał, żeśmy w takie zabobony wierzyli; kiedyśmy świtaniem do chałupy zdyszani przypadli, Stasiek był ci już sztywny a siwy, jak ten kąkolik między pszeniczką. Wojtuś i Kasia ledwie dyszeli, nad wieczorem i one biedaki oczka zawarły. Oj, pannuńciu, myślałam, że już duszę wypłaczę, że mi się rozum zmąci od tej żałości, co mi sercem targała. Oj i jak jeszcze dochtór wstąpił do naszej chaty, co na komisyę jechał i moje biedaki jeszcze dyszące oglądnął i rzekł, że jakby wcześniej, toby ich można wydrzeć śmierci, tom myślała, że głowę o drzwi rozbiję!

Pannuńciu! pannuńcia ta pisząca, to niech pannuńcia to moje nieszczęście opisze, rzekła, ocierając łzy fartuchem i całując mię w rękę, i niech ta będzie ludziskom na przestrogę, żeby takim, co chcą czarami liczyć, nie wierzyli.

Obiecałam jej i wiernie opisałam.

Janina Różańska.

Przeworsk, w czerwcu.

ŻNIWO.

Słońce rano wstaje,
Krople rosy schną,
Na niwie, na całej
Żeńcy kłosy żną.

I dziewczęta hoże,
Już dzwonią sierpami,
Szumi fala kłosów
Ponad ich głowami.

Bo na polskiej ziemi
Ludzie nie próżnują,
Wcześnie rano wstają,
Do późna pracują.

I nieraz im nieraz
Pot się z czoła sączy,
Lecz za to się z pracą
Nabożna pieśń łączy

Ledwie na modlitwę
Odezwie się dzwon,
Już ludek wesoły,
W polu klęka on.

Do Najświętszej Panny
Płyną modły tam,
Gdzie Syn Jej najmilszy
Łaski daje nam.

Bo Najświętsza Panna,
To królowa nasza,
Ona hojne łaski
W niebie nam wyprasza.

Więc Najświętsza Matko,
My Ciebie błagamy,
Zbaw naszą ojczyznę,
Którą tak kochamy.

Zofia Lerch.

† Ś. p. Julian Preys
(Sierp Polaczek).

Z Bydgoszczy dochodzi nas żałobna wieść. Umarł tam w sobotę po długich i ciężkich cierpieniach starzec 85-letni ś. p. Julian Preys, pisarz ludowy, który pod znanym mianem Sierp-Polaczek rozbudzał poczucie miłości ojczyzny wśród szerokich warstw ludności. Był on jednym z pierwszych na tej niwie pracowników, a pismom i kalendarzom jego zawdzięczamy rozbudzenie świadomości narodowej wśród warstw, do których przed nim mało kto docierał.

Umarł ten przywódca ludowy na zanik sił, umarł w najokropniejszej nędzy i biedzie. Zbierano dlań datki, lecz w tak niedostatecznej napływały one mierze, iż zapewnić mu spokojnego wieczoru życia nie mogły.

Umarł zapomniany, opuszczony ten, który w tysiączne ogniska domowe niósł kaganiec oświaty narodowej, który w setkach tysięcy serc polskich zapalał żnicza nieśmiertelnej idei narodowej.

Pogrzeb ubożuchny odbył się w środę dnia 6 lipca o godzinie 5 po południu z domu przy ulicy Szwedzkiej nr. 3.

Na świeżej mogile zasłużonego tego człowieka zabrakło może laurów i wieńców, lecz żal gorących serc polskich pamięci jego towarzyszyć będzie długo i daleko poza grób.

Ś. p. Julian Preys dostarcza jednego dowodu więcej na to, że społeczeństwo nasze pozwala ludziom steranym w pracy około dobra narodu mrzeć z głodu.

Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki, a polska ziemia matka, którą tak gorąco miłował, niechaj mu lekką będzie!

Z dalekiego Wschodu.

Jaskrawe promienie czerwonego słońca schowały się za wysokimi gór szczytami i po skwarnym dniu nastał orzeźwiający wieczór.

Wilgotne opary, pochodzące z pobliskiego morza, ochłódziły powietrze, wypełniając miłem tchnieniem cieniste wąwozy i górskie szczeliny.

A dzień był bardzo upalny, bo nietylko czerwone słońce parzyło ludzi swemi promieniami, ale równie gorąco parzyły ich ziejące jaszcze dział i karabinów japońskich.

Dzień zakończył się klęską wojsk rosyjskich, które uciekając w popłochu nie miały czasu zbierać rannych, lub grzebać poległych, ale wyręczyli ich w tem Japończycy, zbierając rannych do swych wozów szpitalnych, a zabitych pochowali z należnymi im honorami, spełniwszy ostatnie posługi, podążyli za swym oddziałem.

Noc roztoczyła ciemne swe skrzydła nad wąwozami Mandżuryi; cichość zaległa głęboka, przerwana tylko czasem łopotaniem skrzydeł, przelatującego nocnego ptaka.

W szczelinie górskiej, zarosłej dzikiemi zielskami, coś poruszyło się i cichy jęk dał się słyszeć. Na trawie leżał rozciągnięty młody człowiek, odziany w mundur rosyjskiego żołdaka. Trafiony japońską kulą, która mu rękę strzaskała, padł w przepaść, nad którą stali. Leżał w omdleniu parę godzin i dopiero chłód wieczorny przywrócił mu przytomność.

W pierwszej chwili nie mógł sobie zdać sprawy, gdzie jest i co się z nim stało, dopiero chcąc powstać, gdy się poruszył, uczuł dotkliwy ból w nodze, którą złamał, spadając ze skały. Oprzytomniał i przypomniał sobie cały przebieg bitwy; przekonał się następnie, że ta wilgoć, którą czuje w rękawie, to krew z jego rany, którą z wielkiego bólu, nie mógł poruszyć.

Ułożył się spokojnie i zaczął myśleć, iż zgon jego już bliski, bo cisza, jaka panowała w około, upewniła go, że wojska rosyjskie pewno już dawno odeszły, a nawet przypomina sobie, że słyszał komendę do odwrotu. Więc on tu już sam zostanie bez żadnego ratunku, bez pokarmu, i albo z upływu krwi, albo z głodu musi umrzeć.

I przed oczami duszy jego stanął obraz rzewny, przypominający mu ostatnią chwilę, tam, daleko w Ojczyźnie, w domu jego matki, pod Lublinem. Przypomina sobie, jak przy-

szedł pożegnać się z matką, i ona, widząc go w mundurze rosyjskim, zemdlała; potem gdy ją przyprowadził do przytomności, błogosławiła go, szepcząc blademi ustami. Pamiętaj synu mój, że tchórzem brzydko być dla Polaka, ale sam nie narażaj się na niebezpieczeństwa, bo nie walczysz w obronie naszej Ojczyzny, ale dla chciwości naszego najezdcy, którego chciwość nigdy nie jest nasycona; a szczególniej pamiętaj strzelać tak, żebyś nie trafił żadnego Japończyka, bo to szlachetny naród. Potem matka zawiesiła mu na szyi medaljonik z Matką Boską Częstochowską i przyrzec jej musiał, że codzień choć jedno Zdrowaś Maryo odmówi.

I nieszczęśliwy młodzieniec przypominając sobie tę rozrzewniającą chwilę, zalał się łzami; wyjął medaljonik, zaczął go całować i modlił się do niego, żeby Matka Boska nie opuściła go w tej ostatniej chwili życia jego.

I Matka Boska ulitowała się nad nim, bo zesłała mu sen pokrzepiający, w którym widział ukochaną swą matkę, jak opatruje rany jego, i cieszy się, że choć bez ręki, ale powrócił do niej, już na zawsze. I słyszy, jak matka krzątając się koło niego, śpiewa półgłosem ranne godzinki. Rozrzewniony młodzieniec chciał matkę uściskać, i we śnie wyciągnął do niej ramiona, aż ból dotkliwy go zbudził. Jakież było jego zdziwienie, że to nie matka jego śpiewała, ale ktoś tam w górze po nad nim. I znów nie wiedział, gdzie się znajduje, czy to jest rzeczywistość, czy przewidzenie, i o ile sił mu starczyło zawołał głośno, Matko Boska ratuj mnie. W tem nad przepaścią nachyliła się wybladła twarz misyonarza, który przechodząc tam tędy usłyszał słowa rannego. Synu mój, Matka Boska wysłuchała twej prośby i zsyła ci pomoc, zaraz zejdę do ciebie. I poczciwy misyonarz w brzasku rozbudzającego się dnia, odszukał ścieżkę, którą się spuścił do głębokiego parowu, wlał do ust kilka kropli wzmacniających rannemu, zatamował płynącą krew z rany, potem poszedł do bliskiej wioski, sprowadził ludzi z noszami, którzy zanieśli go do znajdującego się tam japońskiego szpitala. Kość w ręce lewej była tak strzaskaną, iż trzeba było rękę powyżej łokcia odjąć; złamana noga powoli się zrasta, i jest nadzieja, że za parę miesięcy biedny kaleka będzie mógł wybrać się w podróż do drogiej Ojczyzny, do tęskniącej za nim matki. W liście pisanym do matki, donosi, iż Japończycy obchodzą się z nim bardzo starannie, a tym więcej dogadzają mu, gdy się dowiedzieli że jest Polakiem. Są oni dla naszego narodu bardzo życzliwi, tylko się dziwią, że potrafimy tak długo znosić pęta niewoli.

A. Ciechomska.

Wieści ze świata.

Pewien czytelnik *Gazety świątecznej* wychodzącej w Warszawie, opisuje, jak się u nich teraz ludzie ubierają.

„Kto w tych stronach urodzony, i jest tak przyzwyczajony, to się temu nie dziwuje, taki zwyczaj zachowuje: spodnie nosi kratkowane, precz czerwonem przetykane, kamizelka taka sama, też czerwonem przetykana, czapki wszyscy staruszkowie, rogate noszą na głowie, a ludzie wieku średniego, mają już kroju inszego. Lepszy ubiór staroświecki, niźli kusy ów niemiecki, bo ten sami wyrabiają, za niemiecki, złoto dają. Płótno własne w domu tkane, na codzień jest używane, a na święto, na niedzielę, mają już sklepowych wiele; sukmany już zarzucają, do surdutów się zwracają.

Młodzi, tak zwane „facety“, noszą na głowie kaszkiety, czy to w zimie, czy też w lecie, każdy musi być w kaszkiecie. Buty szlacheckie sprowodzają, nawet drogo przepłacają, z cholewkami sakowemi, a z przyszwami hamburskiemi, glansowane i świecące, i jak sucha oś skrzypiące. I tak w nich się prezentują, butną minę pokazują, włosy w górę zadzierają, i za panków się podają. A inni znów na muzyki, przypinają kołnierzyki, aby miny więcej było, aby dziewcząt przywabiło. Który idzie na wesele, ma z głupoty pychy wiele: papierosy spacerowe, ponapychane gotowe, i koziczek wyostrzony, do kieszonki zasadzony, jeno szturchnąć go spróbować, to on gotów „zaszlachtować“, a gdy się wódką upije, to nikogo się nie boi, i pięściami precz wywija, taka jego „ambicyja“. A o tem nie myśli wcale, że może być w kryminale, tyle u niego frasunku, jeśli mu zabraknie trunku“.

Bardzo ładnie i wielką prawdę ten czytelnik napisał, bo dla polskiego włościanina, najładniejszym jest strój narodowy, z krajowego sukna utkany, prawda, że droższym jest od tego kusego niemieckiego ubrania, ale za to przetrwa tamtych kilka.

Katastrofa w Nowym Yorku. Okropna katastrofa zdarzyła się w Nowym Yorku, o której dzienniki straszne przyniosły nam wieści.

Towarzystwo składające się z przeszło 1000 osób, przeważnie kobiet i dzieci wynajęło parowiec nazwiskiem „Jenerał Slocum“ chcąc użyć przyjemności przejechania się po morzu. Jan Edel, członek nowojorskiej rady miejskiej, który brał udział w wycieczce, tak opowiada:

„Około godziny 9 rano, udałem się na pokład statku, który był przepełniony publicznością. Kiedy zbliżaliśmy się do Hellgote, miejscowości znanej z okropnej głębi, zawołano dzieci na niższy pokład, gdzie rozdawano lody i wodę sodową. Z braćmi mymi udałem się do oddziału maszynowego, aby obejrzyć motory, kiedy nagle cała ściana ogniem buchnęła. Płomienie szerzyły się z przerażającą szybkością. Suknie kobiet i dzieci, które były w pobliżu maszyny, stanęły odrazu w płomieniach. Wszystkich opanowała straszliwa trwoga. Dzieci biegały błędne szukając matek. Kobiety chwytały drobne dziatki i rzucały się w rwące nurty. Oddzielono mnie od rodziny i zepchnięto do wody, skąd mnie wydobyto“.

Przyczyną ognia był zapalony tłuszcz, w kuchni okrętowej, a służba, która mogła była w pierwszej chwili ugasić go, przelękniona uciekła. Ogień szerzył się z szaloną szybkością, iż nie było mowy o ugaszeniu go. O scenach jakie się rozgrywały, nikt nie może mieć pojęcia. Niektóre kobiety miały po troje i czworo dzieci. A tu położenie było bez wyjścia, śmierć w płomieniach, lub we wodzie. Matki przyciskając dzieci do piersi, wskakiwały do wody, innych spychano, potrącano, tratowano nogami. Wiele osób wskakiwało dopiero wtedy do wody, gdy się już suknie na nich zapaliły. Gdy z brzegu zobaczono pożar, łodzie ratunkowe pospieszyły z pomocą, ale niestety, bardzo mało osób zostało przy życiu. Niektóre kobiety wydobyte, same w obłędzie napowrót w wodę wskakiwały. Statek zatonął dopiero o godzinie 1. a na nim ze 100 osób zwęglonych, przeważnie niemców. Przeszło 1000 kobiet i dzieci, znalazło śmierć w nurtach.

Ci co zdołali uniknąć śmierci, opowiadają, że cała załoga i sam kapitan zachowali się bardzo tchórzliwie, i nim pożar objął cały statek, powskakiwali w morze, zostawiając wszystkich na pastwę ognia i wody; sami jako dobrzy pływacy, ocalali. Nurkowie ciągle jeszcze wydobywają ciała utopionych, ale jeszcze wszystkich nie mogą odszukać. Cała dzielnica w Nowym Yorku, z której tyle osób zginęło, przybrana w żałobę, sklepy pozamykane, a ludzie jak duchy posuwają się po ulicach.

Ostrzeżenie dla wychodźców. W mieście Rio-Janeiro, stolicy Brazylii w Ameryce Południowej, zawiązało się towarzystwo, na którego czele stoją jacyś Trawiński i Drabu. Za pomocą ajentów i ogłoszeń wzywają oni ludzi, mieszkających w Europie, zwłaszcza w krajach słowiańskich, żeby wyjeżdżali do Brazylii, i obiecują dawać tam duże obszary ziemi za darmo tym, którzy zobowiążą się przez lat 20 wypłacać temu towarzystwu połowę swoich dochodów. Niechże nikt u nas na podobne obiecanki nie da się łapać.

Rząd austryacki otrzymał wiadomość od swego konsula w Brazylii, że towarzystwo to nie ma nigdzie żadnych gruntów, ani pieniędzy na ich kupno; jest to tylko spółka oszustów, którzy za pomocą fałszywych obietnic, chcą do Brazylii ludzi ściągać, żeby ostatni grosz z nich wydusić.

Wystawa w Kosowie. Z jakąż przyjemnością zaznaczyć mi przychodzi, że kraj nasz, który przez lat dziesiątki, w gnuśnej żył obojętności, oprzytomniał, bo przekonał się, iż w interesie naszym leży, ażeby dowieść Europie, że żyjemy, pracujemy, rozwijamy się, a wyroby naszego przemysłu nie ustępują w niczem wyrobom zagranicznym, a nawet piękne wyroby ludowe, malowniczością swą, przewyższają zagraniczne.

Jest rzeczą bardzo chwalebną i konieczną, od czasu do czasu urządzanie wystaw, dla okazania tych pięknych wyrobów i udowodnienia uczynionego w nich postępu.

Obecna pierwsza Wystawa w Kosowie, która otwartą została w dniu 19 czerwca zaznajamia nas z wyrobami przemysłu domowego włościan z Wschodniej Galicyi. Pierwsze miejsce zajmują wyroby tkackie, z krajowej szkoły w Kosowie i z kilimkami Próchnieckiego. Są tam; kilimy z barwionej wełny, z wzorami czysto huculskimi, barwne fartuszki przetykane srebrem, portyery, werety wzorzyste, używane do nakrywania łóżek Hucułów, bieliznę stołową z herbami polskimi i ruskimi, płótna, weby, ręczniki, płócienka na koszule itd. Piękne werety wyrobu włościan z Moskalówki; dalej kilimy bukowińskie we wzorzyste kwiaty, koce włochate itd. Piękne

portyery, dziubeńki, opinki i krajki z warsztatów tk ckich A. Hilbnowa z Kosowa.

Drugą ważną gałęzią przemysłu domowego jest garncarstwo, przedstawia ją 4 wystawców, Tomasz Nap z Kut, Piotr Koszak i Piotr Tymczak z Pistynia, i Baranowski z Moskalówki. Wyroby odznaczają się delikatnym deseniem i dokładnem wykończeniem. Są to naczynia kuchenne, jak garnki, miski, dzbanki, talerze, miednice, wazy puchary, lichtarze itd.

Wyroby z drzewa ze szkoły w Jaworowie: Przybory kuchenne, laski, beczki, garnce, dzierze itd. Z Kut wyroby toczone, talerze, czasze, lichtarze, stoliki itd. Meble huculskie stylowe, zdobione koronką drzewną, albo nabijane szklannymi barwnymi paciorkami i drutem mosiężnym, pochodzą z Jaworowa. Ładnie rzeźbione z drzewa i ozdobne charakterystycznymi wycinaniami, huculskie noże, widelce, łyżki i łyżeczki, wystawia Iwan Harasymiuk z Prokurowa. Kuśniewski, wyroby, jak klejnoty, ozdobione pięknemi wyszyciami z Pistynia, Żabiego i Kut. Torby skórzane, nabijane kółkami, goździami i innemi ozdobami mosiężnemi, wystawia Teodor Szknyblak z Jaworowa.

Wyroby mosiężne, t. j. strzemiona, klamry i ozdoby do pasów, dziatki do orzechów z ptasiemi głowami, krzyżyki, naszyjniki i fajki z Żabiego.

Trąby huculskie długie $2^1/_2$ metra, używane w czasie uroczystości.

Rozmaite ubiory huculskie, a także i piękne pisanki, które słyną z delikatności rysunku i barw. Z wystawą wyrobów połączoną jest i wystawa bydła, lecz po wiosennych robotach w polu, bydło nie może dobrze wyglądać.

Oby Wystawa kosowska dała dobry początek i zachęciła mieszkańców innych okolic, żeby w swych miasteczkach urządzali podobne wystawy ze swego domowego przemysłu, czego całem sercem życzymy.

Wyrób zabawek. Niektórzy włościanie w okolicy Radomia wyrabiają zabawki z drzewa i wożą je na jarmarki do różnych miasteczek. Nie są to zabawki bardzo zgrabne, ale ponieważ są tanie, więc ludzie chętnie je dla swoich dzieci kupują. Do miasta Łodzi przywożą całe fury tych zabawek; są tam wyrabiane konie, krowy, wózki z patyków i cienkich deseczek, szafki, skrzynie, a nawet lalki.

Czyżby i u nas w Galicyi nie można ten przemysł krajowy rozpowszechnić? Sama znałam młodych chłopców, którzy kozikłem wyrzynali bardzo zgrabne różne figurki. Kto z Czytelników zna takich samouków, którzy potrafią cośkolwiek z drzewa wyrzynać, niech ich namówi, aby swoje wyroby wynieśli do miasta na sprzedaż, a z czasem może się to stać bardzo dobrym dla nich zarobkiem, a nasza Galicya nie będzie krajem zacofanym.

Ochrona dzieci. Udowodnionem jest, że w czasie letnich miesięcy, czyli robót w polu, ginie marnie co roku bardzo wiele dzieci, a przyczyną tego jest niedozór. Bardzo wiele matek, idąc w pole na pół dnia, a czasem i na cały dzień, zamyka w izbie dzieci, które pozbawione są wszelkiej opieki. Ileż to razy zdarzyło się, że matka powracając do domu, zastaje dzieci nieżywe? albo ileż razy takie dzieci roznieciły pożar we wsi? Rada na to jest niezbyt trudna, bo prawie w każdej wsi znajdzie się jakaś kobieta, która nie mając swego gruntu, a nie mogąc już chodzić na zarobek, może bardzo dobrze dzieci dopilnować, tylko je trzeba zgromadzić wszystkie do jakiej dużej stancyi, lub w czasie upałów do cienistego ogródka, a zostawiwszy dla dzieci odpowiednią ilość pożywienia, może matka spokojnie w polu pracować, a dziecko będzie miało odpowiednią opiekę.

Pożytek z wody płynącej. W pobliżu mego domu płynęła nieustannie woda ze źródła i zimą i latem. Ponieważ słyszałem nieraz, jaki pożytek można mieć z takiej wody, więc postanowiłem z niej skorzystać. Ale że strumyk płynął na granicy, bo po drugiej stronie była ziemia cudza, więc poszedłem do mego sąsiada i namówiłem go do spółki ze mną. Rozkopaliśmy trochę szersze miejsce, zatrzymaliśmy wodę i postawiliśmy młyn o dwóch kamieniach z olejarnią, a do stawu napuściliśmy karpi. Dochód z młyna, olejarni i ryb mamy tak ładny, że już wkrótce zwrócą się nam koszta budowy i czyste zyski zbierać będziemy. Niech nasze doświadczenie posłuży za zachętę i innym gospodarzom, przez których grunta strumyk przepływa, niech się nie obawiają kosztów i pracy, bo to im się sowicie wynagrodzi. *H. S.*

Skutki pijaństwa. Pewien gospodarz w Królestwie odwoził rzeczy do miasta Łodzi jakiegoś robotnika. Szczęśliwie przyjechali do miasta, ale gospodarz po otrzymaniu zapłaty tak się utraktował wódką, że, jak to mówią, o Bożym świecie zapomniał. Miał jeszcze tyle przytomności, że siadł na furę i wyjechał z miasta, ale wnet usnął, jak zabity. Skorzystali z tego złodzieje, widząc spitego człowieka na

Dodatek ilustrowany do Nru 7 i 8 »Przodownicy«.



Obrazek do wyjątku z powieści Jeża
p. t. »Całe życie w niewoli«.

wozie, zdjęli go i położyli w rowie przy drodze, a zabrawszy wóz i konie, w świat pojechali. Po jakimś czasie, gdy się gospodarz wytrzeźwił, widząc, że niema ani wozu, ani koni, powrócił do miasta, udał się na policyę, ale wszelkie poszukiwania były daramne. Stracił jeszcze i te kilka rubli, które wziął za furmankę, ale się to na nic nie zdało, złodzieje z wozem i końmi przepadli, a gospodarz musiał pieszo powracać do domu. Konie i wóz szacował na 200 rubli, a w dodatku do uprawy roli musiał już najmować robotników, co już mogło być początkiem ruiny gospodarstwa. O takie to straty wódka ludzi przyprawia.

Gatunki zwierząt bliskie wygaśnięcia. Niedawno jeszcze polowano na dziki w Wielkiej Brytanii. Od lat pięćdziesięciu zaniechano tej zabawy wskutek zupełnego wyginięcia tej zwierzyny. Przed dzikiem, niedźwiedź i wilk wykreślone zostały z listy istniejących tam zwierząt. Lis istnieje jeszcze, ale głównie dzięki hodowli tego zwierza dla polowania. Bóbr trafia się jeszcze we Francyi nad dolnym Rodanem, a na głowę jego nałożona jest cena! Niezadługo zniknie zupełnie dzięki niedorzeczności prawa i wbrew staraniom naturalistów, którzyby pragnęli wyrok zmienić.

Wśród ptaków europejskich czajka zbliża się do końca. Skrzydeł jej używają na ozdobę, jajek do kuchni a czasem i mięsa. Białko tychże stwardniałe i polakierowane służy do wyrobów sztucznych klejnotów, fajek i cygarniczek, zastępuje piankę morską. W Algeryi struś ginie zabijany dla piór. Byłoby rozsądniej wykorzystać ten przemysł zamiast wybijać ptaki. Słoń znika szybko wobec rzezi dokonywanych przez handlarzy kością słoniową, i jeżeli rząd nie przedsięweźmie środków zabezpieczających, rozbójnicy ci wyniszczą całkiem jeden z najbardziej interesujących gatunków fauny. Obecnie zabijają 40.000 słoni na rok. Tym trybem za 30 lat nie będzie ani jednego słonia. Wielbłąd również staje się coraz rzadszym, i to wielka szkoda. Gdy zniknie zupełnie, przekonają się ludzie, jak był cennym. W Rosyi azyatyckiej używanym bywa w pracach rolnych i doskonale wywiązuje się ze swego zadania. Ale jeżeli nie ułatwi się jego rozmnożenia, wyginie tam nawet, gdzie go najwyżej cenią.

Przygoda z lwem. Jeden z dozorców rządowego rewiru myśliwskiego w Transvaalu miał roku zeszłego niezwykłą przygodę z lwem.

Wyprzedziwszy o parę mil swoich towarzyszy, jechał konno stępa, śladem wązkiej ścieżki śródleśnej. Słońce zeszło od godziny. Naraz pies, którego miał z sobą, zaczął szczekać. W tej samej chwili wypadł z zarośli lew i rzucił się na jeźdźca, który spadł z konia. Równocześnie zjawił się inny lew na przeciwległej stronie ścieżki. Obie bestye, jakby się porozumiały. Lew nr. I. puścił się za koniem, a nowo przybyły chwycił nieszczęśliwego dozorcę za prawą łopatkę i powlókł go za sobą, mrucząc, jak kot, gdy złapie mysz, a boi się, żeby mu jej nie odebrano. Wrażenia dozorcy z tej chwili, były podobno zupełnie inne niż Livingstona, którego jak wiadomo lew mocno poturbował. Livingstone nie czuł pomimo zgruchotania ręki najmniejszego bólu, tylko osłupienie. Nasz dozorca cierpiał bardzo fizycznie i moralnie: lew trzymał go w zębach — nie było nadziei ratunku. Jednak po upływie kilku chwil, kiedy pierwszy strach przeminął, przypomniał sobie dozorca, że ma na prawym boku długi myśliwski nóż. Nie było czasu do stracenia. Wyjął go więc w jednem oka mgnieniu lewą ręką, którą miał wolną i pchnął napastnika z całej siły dwa razy w bok i raz w gardziel. Lew puścił ofiarę i odskoczył o parę kroków, rycząc przeraźliwie i brodząc obficie posoką.

Dozorca uwolniony z bolesnego uścisku powstał z ziemi i wiedząc, że dzikie zwierzęta boją się głosu ludzkiego, wyrzucił na lwa cały potok obelżywych wyrazów, tonem ile tylko mógł najbardziej podniesionym. Zwierzę namyślało się czas jakiś, potem odeszło zwolna, mrucząc i rycząc. Ryk stawał się coraz słabszym, w końcu ustał — lew pewnie nie żył.

Jednak ostrożność przedewszystkiem. Dozorca osłabiony utratą krwi, wywindował się z trudem na drzewo. Przezorność nie była zbyteczną i bardzo na czasie, gdyż zaledwie usadowił się na gałęzi, nadbiega drugi lew, lecz się nie zatrzymuje i wkrótce ginie w gęstwinie, tropiony przez psa...

Bohater tego zdarzenia, bojąc się, żeby nie zemdleć, przywiązał się do drzewa i tak przesiedział do rana, póki nie nadeszli towarzysze i nie uwolnili go z niemiłego położenia. Opodal znaleziono już ostygłe ciało lwa. Nóż zadrasnął serce dwukrotnie.

ZE SAKSÓW.

Pewien robotnik spotkany w Mysłowicach, opowiada smutne dzieje swego losu. „Namówili nas, byśmy poszli na roboty do Stendnitz do wapiennika Dra Frentzla. Jak my przyjechali, zaraz wzięto się na prawdę do roboty, żeby się nie powstydzić. Ale Niemca zadowoli chyba tylko dyabeł. Do kija się wziął dozorca i bił, a jam musiał siedzieć cicho, bom się bał o zarobek; za bądź co, za jedno słowo odpowiedzi nakładali „strof“ zaraz 3 marki. I w nocy kazali robić, wprawdzie za osobną zapłatę, ale ja nie mogłem już, bom osłabł. Wapno wżarło się do nosa i płuc, krew mi szła parę razy dziennie. Nie uważali na to, tylko pędzili do nocnej roboty, do godziny 12 w nocy. Było nas 40, ale zostało tylko 17. Uciekliśmy nocą, tracąc zarobek za 3 tygodnie, dłużej niemogliśmy wytrzymać. Głód nam dokuczał, dawali nam co prawda kawę, ale to tylko były zabielone fusy. Ziemniaków było dosyć, ale bez soli i omasty, trudno było połknąć“.

Że wymieniony robotnik mówił prawdę, to faktem jest, że w wapiennikach Dra Frentzla przychodziło kilka razy do bójki, pomiędzy robotnikami i dozorcami, która to sprawa aż przed kratki sądowe się dostała, ale rany na głowie pobitego robotnika najlepszym były świadectwem jego niewinności i uwolniono go z więzienia.

Pewien ksiądz z zakonu Maryanów, który jako misyonarz bawi w Danii, nawracając protestantów na naszą wiarę, zwracając uwagę zakonowi na polskich robotników, których tysiące spędza całe lato za zarobkiem w Danii, iż są zupełnie zdemoralizowani i odchrześcijanieni, opisuje następujący wypadek:

Zawiadomiłem robotnice, iż w oznaczonym dniu przyjadę w pewne miejsce, i prosiłem, żeby zawiadomiły inne robotnice z sąsiednich ferm, żeby się zeszły, że będą mogły wyspowiadać się i Mszy św. wysłuchać. Pomimo bardzo brzydkiej pogody, stawiłem się w oznaczonym miejscu, lecz zdziwiłem się bardzo, że małą ilość zastałem tylko dziewcząt a z innych ferm, chociaż odległość nie była wielka, żadna nie przyszła. Objawiłem im swój żal, że tamte nie przyszły i powiedziałem, żeby choć one skorzystały z tego i przystąpiły do spowiedzi, a jutro rano przyjmą św. Komunię. Jedna z nich w imieniu wszystkich odpowiedziała, że nie wolno się spowiadać, bo jutro i tak kląć muszą na krowy. Nie chciały nawet, żebym mszę św. odprawił, i odmówiły mi pożyczenia jedynego stołu, przy którym już sam dla siebie chciałem ją odprawić.

Odkrycia i wynalazki.

Wiadomo, iż ziemia nasza mieści w sobie ukryte skarby, które uczeni ludzie odszukują, urządzają kopalnie i dla pożytku społeczeństwa, na wierzch wydobywają. Są w ziemi ukryte różne kamienie, jak marmur, porfir, piaskowiec i wiele innych, z których rzeźbiarze piękne rzeczy wyrabiają. Ale większą wartość mają ukryte w ziemi metale, jak żelazo, miedź, cyna, ołów, cynk, nikiel, srebro i złoto, a są jeszcze i inne, które dopiero w ostatnich czasach odkryto, a że się rzadko znajdują, dlatego są droższe, a temi są platyna i uran. Ten ostatni odkryty w Saksonii, jest szary, czyli czarno - biały z zielonawym połyskiem, twardy a kruchy, i służy do zabarwiania porcelany na czarno.

W ostatnich czasach, to jest przed kilku laty, odkryła nasza rodaczka Skłodowska, warszawianka, nowy metal dotąd całkiem nie znany, podobny do uranu, ale więcej świecący od niego, i nazwała go polon, chcąc przez to przysporzyć sławy krajowi, z którego pochodzi. Ale ta uczona nasza rodaczka, nie poprzestała na tem, i poszukiwania swoje dalej prowadziła, które dobrym skutkiem uwieńczone zostały, bo wykryła jeszcze nowy metal, który w ciemności bardzo pięknie błyszczy. Ten nowo odkryty metal nazywa się rad, i wielką sławę zrobił naszej rodaczce, w całym świecie uczonym. Przy bliższem badaniu pokazało się, że rad nie tylko silne światło z siebie wydaje, ale i ciepło, a nawet niektórzy uczeni utrzymują, że drobniutkie cząstki radu muszą się w naszej ziemi znajdować i wskutek tego ziemia wewnątrz jest ciepła, i wydaje rośliny. Zrobili także doświadczenie na człowieku pokąsanym przez psa wściekłego, gdy ranę taką potrze się radem, człowiek zostaje uleczonym.

ZA SŁUŻBĄ.

Przyszło bose, w brudnej koszulince,
I stanęło spokojnie u progu —
Chłopskie dziecię, dziewczę pięcioletnie,
Złotowłose, w twarzy żółte szpetnie,
Oczka żywe, choć pół płaczu w mince;
Wnet je ujrzał anioł mego domu.
— Co chcesz dziecię moje? —
— Sława Bogu!
— Na wiek wieków!... Co chcesz dziecię moje?
— Ta za służbą... o pies! ja się boję!.. —
— Pies ten złego nie robi nikomu.
Chodź tu bliżej, bliżej... A czyja ty? —
— Ta niczyja... —
— A gdzież matka?... —
— Zmarła maty... —
— A twój ojciec?... —
— Ojciec w karczmie siedzi... —
— Cóż ty robisz?... —
— Żywią mnie sąsiedzi.
Czasem dadzą, a czasem nie dadzą:
W zimie często do pierza posadzą,
Teraz nie... Pan Bóg mnie hoduje
Jagodami... ot, człowiek bieduje... —
— Jaki człowiek? —
— Ta ja, pani miła...
Źle na wierzchu ziemi być sierotą;
Ciężkie życie... lepiej gdzie mogiła,
Tam gdzie matka... —
— O, moje ty złoto!
Takie małe!... tak mówi rozumnie...
To ty, dziecię, ty chcesz służyć u mnie?...
Cóż ty umiesz?... —
— Ta chatę zamiatać,
Wody przynieść... —
— Figle umiesz płatać?...
(Ono myśli długo) — Także umiem,
A i gęsi ludzkie paść rozumiem.. —
— Czy ty głodna?... —
— O, o! bardzo głodna...

*

O, ty ziemio polska! ty zawodna!
O, ty ziemio polska! tak bogata,
Że wyżywić mogłabyś pół świata,
A dla własnych dzieci nie masz chleba.
Bujne twoje łąki, żyzne niwy,
Zawsze pełne rosy twoje nieba,
A podobnaś do popiołów urny,
I twój naród chodzi smutny, chmurny,
Często grzeszny, ach!... bo nieszczęśliwy.

O, ty ziemio polska! ty zawodna!...
Taka strojna licem i swobodna —
Grzybne twoje łąki, wody hojne,
Kwietne twoje lasy, pszczoły rojne,
A dla większej części twego rodu
O! nie owoców już, ani miodu,
Ale nie masz nawet chleba, chleba!...

Oto dziecko, ledwie nie z kołyski,
Smutne patrzy na twoje połyski,
Już dojrzało, już nieszczęściem stare,
Rozwinęła już jemu potrzeba
Myśl i serce, i już traci wiarę;
Ledwie mówić umie, już się skarży.
I o grobie niby starzec marzy...
O, ty ziemio!... ty macocho gminu!...

Kornel Ujejski.

„Polskie Towarzystwo Pedagogiczne“
na Śląsku.

Istniejące od roku 1896 „Polskie Towarzystwo Pedagogiczne“ na Śląsku, powzięło bardzo chwalebną myśl, urządzenia kursu wakacyjnego uniwersyteckiego w Cieszynie, ażeby dopomódz nauczycielom ludowym, którzy wychowani pod obuchem kultury niemieckiej, w zakładach szkolnych, poświęconych nietylko nauce i wychowaniu, ale niestety i germanizowaniu młodzieży polskiej, muszą sami nad sobą ogromnie pracować, ażeby się odniemczyć, żeby z rzetelną korzyścią pracować na niwie nauczycielskiej, owładnąć tak dobrze językiem polskim, z którego żeby nie tylko sami korzystać mogli, ale wpajali go w młodziane serca dziatwy szkolnej, powierzonej ich wychowaniu.

Komitet powstały z łona „Polskiego Towarzystwa Pedagogicznego na Śląsku“, uprasza wszystkich kolegów i koleżanki nietylko ze Śląska, ale i z innych ziem polskich a szczególnie z Galicyi, o jak najliczniejsze wzięcie udziału w wymienionem kursie wakacyjnym, który się odbędzie w Cieszynie w dniach od 15 do 30 sierpnia b. r., a złożą się nań następujące wykłady:

1. P. Bolesław Baranowski, radca szkolny ze Lwowa: Z dziejów szkolnictwa galicyjskiego, godzin 4.

2. P. Dr. Franciszek Bujak z Krakowa: Wpływ warunków geograficznych na człowieka, godzin 5.

3. Prof. Dr. Odo Bujwid z Krakowa: Choroby zakaźne i sposoby zapobiegania im, godzin 4.

4. P. Dr. Józef Buzek, docent uniwersytetu ze Lwowa: Administracya wychowania publicznego, godzin 12.

5. Prof. Dr. Stanisław Głąbiński ze Lwowa: Zasoby ekonomii społecznej, godzin 4.

6. P. Dr. Emil Godlewski i prof. Dr. Michał Siedlecki z Krakowa: Wpływ otoczenia na organizm, godzin 7.

7. Prof. Józef Góral z Cieszyna: Woda, jako czynnik geologiczny, godzin 3.

8. P. Jan Kasprowicz ze Lwowa: O Mickiewiczu, godzin 4.

9. P. Seweryn Krzemieniewski, asystent uniwersytetu z Krakowa: Budowa i żywienie się roślin, godzin 6.

10. Prof. Dr. Eugeniusz Piasecki ze Lwowa: Zasady wychowania fizycznego, godzin 12.

11. Prof. Franciszek Popiołek z Cieszyna: Z dziejów kultury Śląska, godzin 6.

12. P. Antoni Stefanowicz, radca szkolny ze Lwowa: Nowe kierunki w nauce rysunków, godzin 3.

13. P. Dr. Adam Szelągowski, docent uniwersytetu ze Lwowa: Wiek XVI. w Polsce, godzin 6.

14. Prof. Dr. Kazimierz Twardowski ze Lwowa: Zakłady dydaktyki, godz. 6.

Bliższe szczegóły wykładów z oznaczeniem dni, godzin i sal, później będą ogłoszone. Do wzięcia udziału w tak pożytecznym kursie, zapisywać się mogą i inne inteligentne osoby, któreby chciały skorzystać z wymienionych wykładów. Aby ułatwić uczestnikom kilkonastodniowy pobyt w Cieszynie, komitet zajmie się wyszukaniem odpowiednich umieszczeń dla wszystkich, którzy się do niego zgłoszą. Zarząd przygotowuje także kilka wycieczek w okolice Cieszyna.

Każdy uczestnik zobowiązany jest zaopatrzyć się w kartę uczestnictwa, która mu ułatwi wstęp na wszystkie wykłady, a która kosztuje 10 koron.

Komisya kwaterunkowa zacznie swą działalność od 1 lipca b. r. Po wszelkie informacye zwracać się można do p. Kazimierza Wróblewskiego, profesora gimnazyum w Cieszynie, ul. Dworkowa L. 13, I. p.

O mleku sinem i ciągnącem się.

Czasem się zdarza, że krowa daje mleko sine; kto może, niech poprawi paszę, dobrze jest dawać takiej krowie codziennie, dopóki się mleko nie poprawi, odwaru kminkowego.

Bierze się pełną dużą łyżkę miałko utłuczonego kminku, zagotuje się przez parę minut, po ochłodzeniu dodaje się pół łyżki soli zwyczajnej i zalewa się krowę.

To samo lekarstwo daje się i tym krowom, od których mleko, gdy się zsiada, jest lepkie i ciągnące się, trzeba jednak dwie łyżki kminku, litr wody i łyżkę soli. Jeżeli ktoś nie chce krowy zalewać, to może tym odwarem skropić sieczkę i podać krowie w cebrzyku osobno (kminku się nie wyrzuca). Zdarza się też niekiedy, że mleko od krowy jest dobre, a przyczyną lepkości mleka staje się nieczysto utrzymane naczynie, trzeba więc bardzo na to baczyć, aby naczynia mleczne i powązki były czysto utrzymane i często parzone.

Warunki dobrego mleka.

Głównym warunkiem dobrego mleka jest wysoka zawartość tłuszczu czyli masła. Doświadczenie uczy, że zdolność zwierząt do wydzielania mleka ze względu na jego skład i ilość u rozmaitych ras jest też rozmaitą. Mniemanie jednak, jakoby krowy więcej mleka dające, dawały mleko więcej wodniste, niż krowy mniej mleka dające, jest nieuzasadnionem, a tem mniej, jeżeli idzie o jednę i tę samą rasę. Wiadomo przecież, że w każdej rasie znajdziemy lepsze i gorsze krowy. Najważniejszem więc zadaniem każdego gospodarza, mającego na celu mleczność krów, powinien być staranny wybór krów, odznaczających się tłustością i ilością mleka. Aby dojść do tego, należy ściśle przeprowadzić próbne udoje i oznaczyć zawartość tłuszczu w mleku od każdej krowy osobno. Trzeba pamiętać i o tem, aby krowy, które kupujemy dla rozpłodu, pochodziły również od krów mlecznych, prócz tego należy też uważać na ogólną budowę ciała.

Zewnętrzne oznaki dobrej krowy.

Budowa ciała: więcej delikatna jak ciężka; wejrzenie: łagodne; głowa: mała i lekka; rogi: gładkie, delikatne i świecące; uszy: cienkie: szyja: wysmukła z drobną fałdą; brzuch: głęboki; krzyże: szerokie; tył: szeroki; ogon: delikatny; skóra: cienka, posuwista; włos: deli-

katny i mięki; wymię: sięgające jak najdalej naprzód i w tył; żyły mleczne: grube z szerokimi w końcach dojkami mlecznymi.

Niekiedy się zdarza, że krowa ma więcej niż cztery dojki, jest to oznaką większej mleczności, gdyż można się spodziewać silnie rozwiniętych gruczołów mlecznych.

Krowa o wyglądzie wołowatym ze skłonnościami do tłustości, z wymieniem, które przy dotknięciu po wydojeniu zdaje się jakby było jeszcze pełne (wymię mięsiste), nie nadaje się i nie będzie nigdy dobrą mleczną krową. Taka krowa nie opłaca nawet z jednej paszy. *L. W.*

Jakie warzywa należy pielęgnować w naszych ogrodach.

1. **Anyż** zwyczajny i gwiazdkowy. Jest to roślina letnia, rozmnaża się z nasienia, ziarno dojrzewa i zbiera się w tem samem lecie.

Najlepiej udaje się w ziemi pulchnej, sieje się rządkami co 6 cali, wprost do gruntu w miesiącu kwietniu.

Potrzebuje częstego podlewania przez cały czas wyrostu; użyteczna z ziarna do przyprawy ciasta.

Anyż Erfurcki roślina przemysłowa.

2. **Arbuzy** lub kawony. Znane są w kilkunastu odmianach, jak Vermicelle Homer, Sława Ukrainy, Farharskie-Węgierskie, Astrachańskie i inne, najlepsze zaś między niemi z mięsiwem czerwonem jak: The Cream lub Astrachańskie.

Roślina letnia, rosnąca przy ziemi, rozpuszczając sznury; rozmnaża się z ziarn, pielęgnuje się u nas w inspektach, w ziemi pulchnej, żyznej przy cieple 20⁰ R. Gdy podrosną flance w marcu, przesadza się je do innego inspektu, również 20⁰ R. ciepłego. Do inspektu pierwszego sadzi się w lutym (wcześniejsze), przesadzając do drugiego — pomieszcza się każdą roślinę oddzielnie pod osobnem oknem.

Wysadzane do gruntu — u nas nie dojrzewają, jedynie w klimacie cieplejszym.

Użyteczna dla owocu słodkiego, jadalnego na surowo.

3. **Bób**. Ze wszystkich odmian najlepszy jest: wczesny Magazyn (nizki, bardzo urodzajny) i późniejszy z wielkiem ziarnem Hangdown.

Roślina jednoletnia, strączkowa, wyrasta do dwóch łokci wysokości, rozmnaża się z ziarn, Rośnie w każdym gruncie, byle dobrze żyznym, w miarę wilgotnym. Najwcześniejszy sadzi się w kwietniu, a najpóźniejszy w maju i czerwcu w rzędzie na stopę odległości. Można też sadzić rzadziej np. co dwie stopy na linii. Zwyczajem jest u nas bób sadzić między kapustą rzędem, środkiem zagonu.

Nasienie przy sadzeniu zagłębiać należy na 2 do 3 cali, pomieszczając po 2 lub 3 ziarnka razem. W lecie okopywać.

4. **Brukiew**. Znana głównie w kilku odmianach jak Biała, Jabłkowa, Hoffmanowa i Żółta. Najwięcej rozpowszechniona i najlepiej udająca się — Żółta, należy do gatunku kapusty i roślin okopowych, wypuszcza liście do $^3/_4$ łokcia wysokości. Rośnie w ziemi cięższej, wilgotnej, rozmnaża się z nasienia. Zwykle na pierwsze flance (rozsadę) zasiewa się w chłodnym inspekcie w marcu, a późniejsze wprost w gruncie w miejscu zacisznem, po rozmarznięciu ziemi, na równi z innemi kapustami; następnie wypielęgnowane flance przesadza się na zagony w dobry grunt wilgotny, w cztery linie co $1^1/_4$ stopy na linii, zagłębiając po same liścienie. Najczęściej brukwią obsadzają się brzegi zagonów, na których rośnie kapusta, przy przesadzaniu przecina się główny korzonek, co wpływa dodatnio na wcześniejsze rozwinięcie się. Gdy brukiew zacznie podrastać, trzeba ją okopywać, nagarniając ziemi na łodygę, inaczej bez okopywania rozrastający się korzeń brukwi na powierzchni będzie żyłowatym.

Brukiew, przechowywana przez zimę, a wysadzona na wiosnę — w drugim lecie wydaje nasienie. Użyteczna jest na jarzynę.

5. **Burak**. Używany jest w kilku odmianach, jak Egipskie, Erfurckie, Murzynki, Eclipse, Victoria i inne, najlepsze ćwikłowe: Victoria i Egipskie, płaskie, ciemno-czerwone, z wrębami na obwodzie, oraz Dewinga, kształt kulisty, mięso krwisto-czerwone, delikatne. Roślina okopowa, rozmnaża się z nasienia. Burak przechowany w piwnicy przez zimę, wysadzony do gruntu — w drugim roku wydaje nasienie.

Rośnie w każdym gruncie dobrze spulchnionym i umierzwionym. Buraki zasiewa się wcześnie na wiosnę, zwykle w miesiącu kwietniu, sadząc, zagłębiać palcami do dwóch cali, biorąc po 2 lub 3 ziarnka w szczyptę.

Skoro nasienie wzejdzie, przerywa się; pozostawiając po jednej, co zdrowszej, roślinie;

wyjęte zbyteczne flance mogą być zaraz wysadzone w miejscach brakujących lub na innym zagonie. Najczęściej burakami obsadza się brzegi zagonów z innemi warzywami, np. z cebulą, zagłębiając ziarnka co 2 stopy, jeżeli zaś zasiewa się na osobnych zagonach to w 6 linii, co 6 do 8 cali na linii. Na zbiór zimowy można siać dopiero w drugiej połowie maja, w ziemi niezbyt ścisłej, a dobrej, a będą średniej wielkości (najlepsze).

6. **Cebula.** Znana jest przeszło w dziesięciu odmianach, jak Holenderska biała, czerwona, blado czerwona, żółta, kartoflanka, Madeira olbrzymia, Żyławka, Biała królowa, Zwyciężka, Fripoli i inne. Najlepsza „holenderska żółta" i „Madeira". Rośnie przy ziemi, wypuszczając szczypior do pół łokcia. Najlepiej wyrasta w ziemi pulchnej, czarnej, żyznej, nieco gliniastej, odpowiednio wilgotnej, wystawionej na działanie promieni słonecznych, mierzwionej przed rokiem (gdyż na świeżym nawozie nie udaje się). Wyrasta z nasienia, rozmnażać także można przez dzielenie rozpadłych, czyli mających po parę wyrostków, cebulek. Cebulę zdatną do potraw otrzymujemy w dwojaki sposób: albo z wysadzenia wcześnie wypielęgnowanych flanców w niebardzo ciepłym inspekcie (zimowym) z których w temże lecie cebula wyrośnie, albo w drugim roku wysadzonych do gruntu cebulek, zwanych dymką.

Na flance cebulę sieje się w inspekcie w początkach kwietnia do końca maja. Sadząc, flancom przycina się końce korzeni, a pomieszcza na zagonie (2 łokcie szerokim) w 8 do 10 linii i od 2 do 4 cali roślina od rośliny.

Do wypielęgnowania dymki zasiewa się cebulę w gruncie w czerwcu. Na jesieni wyrosłe małe cebulki, wybrane z gruntu, osusza się i przechowuje przez zimę w woreczkach i ciepłych mieszkaniach, zwykle nad piecem. Dymkę przechowaną wysadza się do gruntu w kwietniu, od trzech do czterech cali jedna od drugiej.

Nasienie cebuli otrzymujemy z wysadzania na wiosnę dobrze wykształconych cebul, które wypuszczają łodygi nasienne. Cebule na nasienniki wysadzać trzeba w miejscu słonecznem, okrytem; dla zabezpieczenia zaś łodyg nasiennych od złamania, związuje się je po kilka razem, można też do paliczków poprzywiązywać. Następnie główki z nasieniem ścina się, wiąże w pączki i suszy na słońcu, żeby nasienie dojrzało należycie.

Na wcześniejszą cebulę siać można w lutym na ciepłym inspekcie przy 12° ciepła R.

Cebula w ogólności jest niezbędnem warzywem, a użytecznem codziennie do potraw.

7. **Cykorya.** Znana w kilku odmianach jest Brukselska Witloof, Sałatowa pstrolistna i Magdeburgska. Najlepsza na sałatę Brukselska, do wyrobu cykoryi Magdeburgska. Potrzebuje ziemi pulchnej, gliniastej, głęboko uprawionej, wyrasta z nasienia. Siać trzeba rzadko w linie, odległe na 12 cali, po wzejściu należy przerwać, aby rosła co 6 cali; przez lato trzeba okopywać. Jesienią wykopuje się z gruntu i zasadza w piwnicy, gdzie wyrosną blade listki, zdatne na smaczną jarzynę, jako sałata zimowa.

Korzenie w piwnicy przechowane, pędzi się w szklarni od Nowego Roku.

8. **Czarnuszka ogrodowa.** Roślina jednoletnia, wyrasta do łokcia wysokości, z ozdobnym strzępiastym liściem i szyszką nasienną. Rozmnaża się z nasienia, sieje się z wiosną w kwietniu lub maju, rzutem wprost do gruntu, nasienie wschodzi w parę dni, wydaje nasienie w tymże roku. Zwykle sieje się rzadko pomiędzy warzywem, lnem lub na oddzielnym zagonie w cztery rzędy. Jeżeli wyrasta za gęsto, trzeba przerwać.

Użyteczna jest dla pachnącego ziarna, potrzebnego do różnego pieczywa, służyć także może jako roślina ozdobna do kląbów kwiatowych.

9. **Czosnek.** Jest to roślina cebulkowa, złożona z kilkunastu małych cebulek. Rośnie w ziemi suchej, gliniasto-piaszczystej a żyznej. Rozmnaża się zwykle przez rozdzielenie i wysadzanie pojedynczych cebulek, które w ciągu roku wyrastają na większe i złożone. Wysadza się wcześnie na wiosnę w kwietniu, zwykle na zagonach w 5 linii, od 5 do 6 cali odległości cebulka od cebulki. Użyteczny jest jako przyprawa kuchenna.

10. **Czyściec bulwiasty, korzeń paciorkowy** albo **ziemniaki japońskie.** Roślina, pochodząca z Japonii, zbliżona do ziemniaków, udaje się w zwykłej gruntownej uprawie, najlepiej jednak w ziemi lekkiej ogrodowej, bogatej w humus; rozmnaża się przez sadzenie oddzielnych kłębów czyli korzonków. Sadzić należy na wiosnę, gdy ustaną przymrozki, kłębki zagłębia się na pół cala w ziemi w odstępach 1 stopy w kwadrat.

Roślina ta wypuszcza łodygi drobne, niezbyt wysokie, pokryte liśćmi matowymi, koloru ciemno-zielonego. Kłębki, do użytku stołowego zdatne, otrzymuje się dopiero w pa-

ździerniku, nieraz pod jednym krzakiem bywa od 100 do 150 sztuk kłębów rozmaitej wielkości. Zimuje doskonale w gruncie pod lekkiem przykryciem z liści. Korzonki, przeznaczone do spożycia zimową porą, należy wykopać w jesieni i zaraz umieścić w wilgotnym piasku w piwnicy, gdyż pozostające dłuższy czas na powietrzu, szybko więdną i ciemnieją. Używana z kłębów na wykwintną jarzynę, podobna w smaku do szparagów, a szczególniej do kalafiorów.

11. **Dynia**. Znana w kilkunastu odmianach jak: Melonowa olbrzymia, Wieloryb, Szparagowa, La Plata, Valparaiso i wiele innych. Najlepsza Mamut oraz Wieloryb. Roślina letnia, wyrasta nizko, rozpuszczając sznury. Potrzebuje ziemi żyznej inspektowej, sadzą ją zwykle na kopcach kompostowych. Rozmnaża się z ziarn, siać należy w marcu w inspekcie ciepłym, a w końcu kwietnia lub maja, kiedy mija obawa o przymrozki, wysadza się flance do gruntu. Nasienie wydaje w tymże roku.

Użyteczna na zupę. W stronach cieplejszych nieoceniona roślina pastewna, pokarmowa, nawet do przechowania zimowego. Sadząc nasienie, zagłębiać trzeba ostrym końcem w ziemię.

12. **Fasola.** Jest to roślina strączkowa, znana w dwóch gatunkach: tyczkowa i piechota. Fasoli jest kilkanaście odmian, i tak: z piechoty znane najlepsze „holsztyńska perłowa“ i „najwcześniejsza szablasta“, dobre również są „Lipcówka“, „Filadelfia“ i inne. Z tyczkowych zaś: „cukrowa najwcześniejsza“, „Extra“, „największa biała“ i inne.

Fasola szparagowa najlepsza jest tyczkowa z fioletowem ziarnem i żółtym strączkiem „Mont d'or“. Wszystkie fasole są to rośliny jednoletnie, rozmnażają się z ziarn, jedynie udają się w ziemi lekkiej, ciepłej i dobrze umierzwionej lecz nawozem przetrawionym, gdyż świeżego nie znosi. Wysadza się zwykle w początku maja, a zawsze, kiedy niema obawy o przymrozki. Tyczkowa fasola sadzi się w trzy rzędy na zagonie po parę ziarnek na stopę odległości lub po kilka ziarnek, wtykając na dwa cale głęboko w ziemi, od jednej i pół do dwu stóp odległości. Piechotę sadzić najlepiej w cztery do pięć linii na zagonie po dwa ziarnka razem w odległości sześciu cali. Przez lato trzeba okopywać.

Dla fasoli tyczkowej, skoro tylko podrośnie i zacznie wypuszczać wąsy, winno się zatykać tyczki, inaczej pozwija się w kłęby nad ziemią i zniszczeje. Fasole w ogólności nie mogą być wysadzone za późno, gdyż strączki nie dojrzeją, a nasienie, zebrane wilgotno, trzeba wysuszyć, gdyż inaczej spleśniałoby.

Fasole użyteczne są dla ziarn dorosłych, jak w ogóle grochy, oprócz szparagowych, których strączki jeszcze niedojrzałe z ziarnkami używają się na smaczną jarzynę.

13. **Groch.** Znany w kilkunastu odmianach, z których najlepszy do zasiewu w ogrodach jest: karlik „de Grace“, nizko rosnący, i cukrowy „Angielski“ wielki. Wszelkie grochy są to rośliny strączkowe, jednoletnie, pnące się. Karliki wyrastają do łokcia wysokości, cukrowe zaś wielkie do czterech. Grochy udają się w ziemi lekkiej, żyznej więcej piaszczystej; siane na gruncie cięższym bywają robaczywe, dojrzałe ziarna trudne są do rozgotowania. Rozmnażają się i wyrastają z ziarnek, które zasiewa się jak najwcześniej na wiosnę zaraz po rozmarznięciu ziemi, najczęściej w miesiącu marcu. Groch karlik ma wcześniejszą jarzynę, pielęgnuje się w inspektach, a także zasiewa się do gruntu w miejscach ciepłych, zacisznych; zasiew grochu uskutecznia się na zagonach czteroma lub pięcioma rzędami w odległości sześciu cali, zagłębiając w ziemię po dwa ziarnka na cal głęboko. Do plantacyi grochu cukrowego wielkiego potrzebne są tyczki sękate, a najlepiej suche gałęzie z różnych drzew.

Skoro groch podrośnie, wypada go okopać, następnie powtykać tyczki lub gałęzie, na których groch się rozepnie i w górę wyrośnie; bez użycia tyczek groch powali się na ziemię i zagnije. Nasienie grochu dojrzewa w temże lecie, wysuszone przechowuje się doskonale w byle naczyniu lub woreczku do roku przyszłego. Wszelkie grochy jeszcze zielone, wyłuskiwane ze strączków, są użyteczne na jarzynę, jak również dojrzałe na różne potrawy.

14. **Jarmuż.** Znany jest w kilku odmianach, najlepszy „fioletowy nizki“. Roślina letnia, należąca do gatunku kapusty, przechowana przez zimę, w drugim roku jako rozsadek wyda nasienie. Wyrasta do łokcia wysokości. Rośnie w ziemi cięższej, wilgotnej, udaje się lepiej w nieco ocienionem miejscu. Rozmnaża się z nasienia, na pierwsze flance zasiewa się w miesiącu czerwcu (w drugiej połowie), a wysadza się na zagony w lipcu, w trzy lub cztery linie co 18 do 24 cali. Zimuje w gruncie bez żadnego przykrycia. Jarmuż użyteczny jest na jarzynę, lecz aż po przemarznięciu przez pierwsze przymrozki, dlatego tak późno zasiewać u nas należy.

15. **Kalafiory**. Znane są w kilkunastu odmianach, najlepsze: Erfurckie wielkie, Lenormand, Erfurckie inspektowe wczesne. Kalafiory są to rośliny jednoletnie, należące do gatunku kapusty i do okopowych, wyrastają do jeden i pół łokcia wysokości. Najlepiej rosną w ziemi ciężkiej, wilgotnej, jak najwięcej umierzwianej, w miejscu odkrytem. Wyrastają z nasienia, zależnie od potrzeby zasiewa się na wcześniejsze flance w inspektach ciepłych (od 12° do 15° + R.) w miesiącu lutym, a zwykle w inspektach umiarkowanych w miesiącu marcu.

Skoro ocieplі się po rozmarznięciu ziemi, mniej więcej od 8° do 10° + R., gotowe flance należy wysadzać do gruntu i sadzić na zagonach w trzy rzędy, po łokciu odległości flanc od flanca, albo po łokciu w kwadrat bez zagonów. Możebnem jest także wysadzać kalafiory po bruzdach między truskawkami na dwa łokcie odległości. W razie, gdyby grunt nie był dostatecznie umierzwiony, dobrze jest kopać dołeczki na szpadel szerokości i głębokości, wypełniać je ziemią dobrze umierzwioną, przetrawionym nawozem i w niej pomieszczać flance. Sadzić trzeba po liścienie, ziemię podlać, a roślinki obłożyć naokoło nawozem dla utrzymania wilgoci. Później często podlewać, motykować i okopywać. Nasienie kalafiorów u nas nie dojrzewa, w temże lecie, dla niego też bywa sprowadzane z zagranicy. Jeżeli kalafiory późniejsze nie wydadzą przed mrozami główek, to wyjmuje się je całkowicie, nie otrząsając ziemi z korzeni i pomieszcza w ciepłej piwnicy, a dorosną. Użyteczne są dla młodych główek kwiatowych na jarzynę.

Pożytek z bydła rogatego.

Bydło rogate przy dobrem gospodarowaniu może właścicielom przynosić ogromne korzyści ze sprzedaży nabiału. W bliskości miasta mogą mleko i śmietankę dostarczać codziennie do domów prywatnych lub cukierni, kawiarni, mleczarni itd. Ci, którzy dalej od miasta mieszkają, mogą wyrabiać masło i sery, które w sklepach lub na targach sprzedawać mogą. Żeby dochód z nabiału był znaczny, trzeba przedewszystkiem, żeby krowy były dobremi dójkami, żeby dawały dużo i dobrego mleka. Chcąc dojść do tego, potrzeba mieć dobrego buchaja. Takich buchajów dostarczają obory zawodowe, umiejętnie prowadzone. Można nabyć w młodym jeszcze wieku takiego buchajka, a ten z pewnością wypłaci się gdy dorośnie, bo może służyć dla całej wsi do rozpładzania bydła. Nabywszy rasowego bujaczka, trzeba dawać mu dobrą paszę, to jest owies, którego nie trzeba mu żałować i dobre słodkie siano. Bujaczek powinien mieć dużo ruchu, w lecie zagrodzić mu okólnik, w którym przez cały dzień być może, i tam donosić mu paszy, a nawet i w zimie trzeba go wypuszczać na świeże powietrze choć na pół godziny.

Jeżeli od swoich krów chcemy dochować się buhajka, potrzeba krowy wybierać do tego nienarowiste, wesołe, żerne i dające dużo tłustego mleka, a wychować go odpowiednio, można mieć dobrego stadnika.

Kret jako pomocnik ogrodnika.

Nie wszyscy właściciele uznają, że kret jest bardzo użytecznym w ogrodach, a nawet wielu jest takich, którzy go tępią dlatego, że w niedogodnem miejscu sypie kopiec. Doświadczeni ogrodnicy wiedzą, że bez kreta ogrodnik nie da sobie rady, bo on tępi wszystkie szkodliwe owady, które podjadają korzonki roślin. Na łąkach krety rzeczywiście robią szkodę, bo nieraz cała łąka kopcami jest usypana, co utrudnia i koszenie trawy i na takich kopcach trawa nie prędko urośnie. Ażeby się go pozbyć z łąki, trzeba kupić śledzia, pokrajać na kilka kawałków, rozkopać kopiec i kawałek śledzia włożyć w ten kurytarz podziemny, którym kret chodzi. Tak zrobić w kilku miejscach, a kret odstraszony tym zapachem, przeniesie się w inne miejsce. Kreta więc nie tępić a wypędzać należy, jeżeli się zanadto rozmnożą.

ROZMAITOŚCI.

Posucha. Rok po roku klęski nawiedzają nasz kraj. Zeszłego roku dwumiesięczne słoty, choć wylewów nie sprowadziły, zniszczyły doszczętnie wszystkie plony. W tym roku klęska z powodu niebywałej posuchy, jest już rzeczą dokonaną. Woda w rzekach ledwie się sączy; na Wiśle tak niskiego stanu wody najstarsi ludzie nie pamiętają: drobne potoki i leśne strugi wyschły zupełnie, a co najgorsza, w wielu oko-

licach naszego powiatu, studnie nie dostarczają wody do picia, bo z powodu suszy wyschły do dna. W polu, całe łany żyta stoją do żniwa gotowe, ale to słoma bez ziarna, bo słońcem wypalone. nie wykształciło się ziarno. Konicze, ta podstawa karmy na zimę, nikłe, miejscami zupełnie czerwone, słońcem wypalone. Jarzyny, jęczmień, bób, owies, nie wyrośnięte, ledwie od ziemi odrosły, już się kłoszą, nabierają koloru kanarkowego, a tak rzadkie, że ziemię widać. Pszenice bardzo słabe, z braku wilgoci niskie, z małym kłosem. Kapusty przepadły zupełnie, a ziemniaki, poobnażane z powodu kilku nocnych przymrozków, w dzień palone słońcem, nie zapowiadają nawet średniego plonu.

Jak takie dwa lata klęski przetrwają rolnicy tutejsi? Włościanie mają przynajmniej obfite dalsze płatne zarobki; ale właściciele średnich majątków są pozbawieni, jak dotąd, jakiejkolwiek pomocy. Po tych dwóch latach klęski, wielu zarówno dzierżawców, jak i właścicieli, na prawdę jest mocno zagrożonych.

Choćby spadły deszcze, to i tak z wyjątkiem ziemniaków, już nie poprawią obecnego stanu. Straszny rok nas czeka.

Pożary. W Liszkach wybuchł pożar, którego pastwą padły stodoły, stajnie i śpichlerz, będące własnością parafii. W płomieniach zginął pastuch, który pobiegł na strych stajni, chcąc uratować swoją bieliznę, jaka się tam znajdowała, nie zdążył jednak już zbiedz ze strychu, gdyż płomienie ogarnęły go i wśród strasznych męczarni skonał.

Dzienniki lwowskie notują następujące pożary: W Chotylubiu zniszczył pożar 80 morgów 20-letniego lasu; w gminie Brzuchowice w powiecie przemyślańskim spłonęły trzy zagrody włościańskie; w gminie Kostynowie spłonęły trzy gospodarstwa; w Ostałowicach trzy zagrody; w Bruchniku 4 zagrody mieszkalne, w których mieściło się 6 sklepów; w Trześni powiatu tarnobrzeskiego spaliło się 4 domy mieszkalne i 5 budynków gospodarczych.

W Berlinie, koło toru kolei do Putlitz, pożar ogarnął 20-morgowy plac, na którym leżało przeszło 100.000 progów kolejowych. Ruch kolei miejskiej musiano zastanowić, a cała prawie miejska straż pożarna przy pomocy wojska pracowała nad ugaszeniem płomieni. Na drugi dzień wieczorem zaczęły się palić lasy w okolicy Berlina. Landrat wezwał pomocy wojskowej i wysłani pionierzy zapomocą rowów zdołali umiejscowić pożar.

Znaczną stratę poniósł skarb państwa, do którego lasy owe należą.

O pożarze Turki donoszą: Dnia 10 czerwca w południe uniosły się słupy dymu, zwiastujące klęskę, jaka spadła na biedną górską mieścinę. W przeciągu godziny stało w płomieniach przeszło sto budynków mieszkalnych i z górą 300 rodzin zostało bez dachu, bez kawałka chleba, skazanych na okropną nędzę. W jednej godzinie zniszczało mienie tych ludzi, którzy całe lata w ciężkiej pracy je zebrali. Pożar szerzył się z taką szybkością, iż większa część nieszczęśliwych zdołała zaledwie życie uratować. Ruchomość, towary w sklepach, a nawet gotówkę pozostawiono na pastwę rozszalałego żywiołu. Szkodę, zrządzoną pożarem, obliczają na milion koron. Domy były przeważnie nieubezpieczone.

Gdy przed rokiem na przedmieściu Turka górna w ten sam sposób spłonęło przeszło 40 zagród gospodarczych, zwrócono uwagę urzędu gminnego na grożące niebezpieczeństwo w razie ognia w śródmieściu. Przestrogi te jednak zostały bezskuteczne. Właśnie w śródmieściu, gęsto zabudowanem, powstało w ostatnich czasach kilka piekarń, a jedną pomieszczono w budynku drewnianym. Paliła się już ta piekarnia kilka razy, ogień szczęśliwie gaszono, 10 czerwca jednak, gdy w niej zapalono w piecu, drzwiczkami od komina płomień dostał się na strych, gdzie nagromadzona była słoma, i w jednej chwili dom stanął w płomieniach, które szybko rozszerzyły się na sąsiednie budynki.

Ratunek był prawie niemożliwy, a to tem więcej, że sikawki, przewiezione na miejsce pożaru, były popsute, musiano je najpierw rozbierać i czyścić, ponadto nigdzie drabiny, osęki, ani sikawki ręcznej nie było. Całą czynność ratunkową musiano ograniczyć na kilka konewek i na burzeniu odleglejszych domów. Gdy pożar dosięgał rusztowań na torze kolejowym i do mostu nad Jabłonką, zdawało się, że już pójdzie w perzynę całe miasto. A że się to nie stało, zawdzięczyć należy energicznej obronie ze strony robotników kolejowych, nad którymi kierownictwo objął inżynier Rosenfeld.

Śmierć podczas burzy. W gminie Brzoza zabił piorun podczas burzy włościanina Andrzeja Basztę.

Okrucieństwa tureckie. Do Konstantynopola nadeszła depesza z Musz, donosząca, że od 25 kwietnia do 29 maja w okręgu Sassun zostało zabitych 3000 Armeńczyków, mężczyzn, kobiet i dzieci. 50 wsi zniszczono, sklepy w Musz zburzono. Do Musz przybyło 4000 Armeńczyków, którzy uciekli z obawy przed okrucieństwami Turków. Wśród Armeńczyków panuje głód. Bez pośrednictwa konsula francuskiego byłoby przyszło do strasznej katastrofy. Okrucieństwa Turków nad Armeńczykami trwają dalej. Tamtejszy patryarcha ormiańsko-gregoryański Ormianian żalił się u sułtana z powodu tych zajść.

Dochód państwa z tytoniu, według świeżo wydanego sprawozdania ministerstwa finansów, wynosił w r. 1902 brutto 219 milionów koron, po strąceniu kosztów wyrobu 135 milionów. Przemysł tytoniowy zatrudniał w tymże roku 40.445 osób, z tego

35 824 kobiet. Przeciętna płaca tygodniowa męskiego robotnika w fabryce wynosiła 14 kor., kobiet 10 kor. 46 hal. W Galicyi mężczyzna zarabia przeciętnie 10 kor. 26 hal. tygodniowo, kobieta 7 kor. 96 hal. Nędzniej państwo swego robotnika przemysłowego opłacać nie może, jak to robi Austrya.

Straszny wybuch gazoliny w Sanoku. We czwartek 16 czerwca nastąpił około godz. 5 po południu, wskutek braku należytej ostrożności przy nalewaniu gazoliny do aparatu oświetlającego kawiarnię „Corso" w sanockim „Domu miejskim", wybuch, a w następstwie jego pożar, wobec upału i posuchy, jakie teraz panują, dość groźny.

Najsmutniejsze następstwa miał ten wypadek dla właściciela kawiarni Hopfingera, gdyż oprócz straty materyalnej, jaką poniósł przez zniszczenie mebli, jakoteż przez to, iż lokal będzie musiał mieć zamknięty przez czas naprawy, utracił 12-letniego syna, ucznia II. klasy gimnazyum, który wskutek poparzenia przy wybuchu zmarł tego samego dnia około godziny 10 wieczorem w szpitalu powszechnym. Sam Hopfinger, jego żona, jakoteż kelner, zajęty przy aparacie, odnieśli dotkliwe i niebezpieczne poparzenia na twarzy i rękach i ich również odwieziono do szpitala Nadto z obecnych w kawiarni podczas wybuchu gości wyskoczyło dwóch z pierwszego piętra na ulicę — szczęściem bez groźniejszych następstw — doznawszy tylko potłuczeń. Oprócz tego kilka z osób. znajdujących się wówczas na ulicy tuż pod budynkiem, doznało lekkich poparzeń skutkiem dosięgnięcia ich przez płomienie palącego się gazu. Huk eksplozyi był tak silny, że w całem mieście był słyszanym.

O przyczynie tego wybuchu różne krążyły na miejscu wypadku opowiadania. Najprawdopodobniejszem jest, że brak ostrożności i przypadek stały się przyczyną nieszczęścia. Rzecz bowiem miała się tak-Gazolinę przywieziono chwilę przedtem z kolei. Wskutek gorąca i trzęsienia beczki przy przewożeniu i wynoszeniu jej po schodach na piętro, wytworzyło się dużo gazu, gdy następnie kelner beczkę otworzył, przyczem miało mu się rozlać trochę gazoliny na podłogę, powietrze w pokoiku, gdzie stoi aparat, przesyciło się gazem. Tuż obok pokoiku z aparatem jest kuchnia, połączona z tą stancyą oknem, w chwili wybuchu otwartem, w której 50 ctm. od okna jest palenisko. W tym samym czasie pod kuchnią był ogień, gdyż służąca paliła kawę, drzwiczki paleniska były otwarte i od płomienia w palenisku prawdopodobnie zajęły się gazy i spowodowały wybuch.

Jakakolwiek jednak była przyczyna katastrofy, w każdym razie stwierdzić trzeba, że nie zachowano ostrożności koniecznej w obchodzeniu się z tego rodzaju oświetleniem — i o szczęściu mówić trzeba, że tylko jedno życie ludzkie padło ofiarą, gdyż napór gazów był tak straszny, że nie tylko w tym pokoju i kurytarzu roztrzaskał wszystkie szyby, ale w oddalonym o kilkanaście metrów sklepie p. Słuszkiewicza i w magazynie wojskowym szyby z okien rozprysły się na drobne kawałki.

W kilka minut po wybuchu, przybyła straż z sikawką i drabiną Później przybyły do pożaru straże ochotnicze z fabryki i Posady olchowskiej. Pożar umiejscowiono do godziny 7 zupełnie, poczem sąsiednie straże odjechały, a miejscowa została jako pogotowie na miejscu pożaru.

Lawiny. O katastrofie, jaka nawiedziła wieś Grengiols w Szwajcaryi, skutkiem spadnięcia lawiny śnieżnej, nadchodzą wiadomości. We wtorek o godzinie w pół do drugiej w nocy. z Lötigrat. na wysokości 2500 metrów, oderwała się potężna śnieżyca, która runęła na wioskę Grengiols (kanton wodański) i zasypała cztery domy. dwie stajnie, tartak oraz trzy młyny. Wioska położona jest na lewem wybrzeżu Rodanu, między Mörel i Lax, na wysokości 1005 m. Ofiarą katastrofy padło 13 osób; 7 zdołano jeszcze wydobyć żywych z pod mas śniegowych. Nieszczęśliwi zaskoczeni zostali katastrofą w głębokim śnie. Masy śniegowe, które spadły na wioskę, obejmują 250.000 m. kub. — Druga, podobna katastrofa, lecz jeszcze cięższa, zdarzyła się we Włoszech. — W gminie Pragelato pod Turynem lawina zburzyła szereg chat, w których mieszkali górnicy. Około stu robotników zostało zasypanych, a z tych tylko 25 zdołało się uratować.

Oszustwo loteryjne. Loterya pieniężna — ta istna trucizna społeczna, wciska się coraz bardziej do najuboższych zakątków, między klasę robotniczą, między służących i prostych nawet najemników z dnia na dzień ciężko na życie pracujących — wydziera im grosz w pocie czoła zdobyty, pochłaniając go bezpowrotnie, zabiera wraz z mieniem biedaków owe nadzieje, do których zwykle człowiek jest skłonny, dając w zamian za nie nieosiągnięte nigdy, mniemane skarby, zniechęcenie, a często smutny koniec...

Są żydowskie domy bankowe, biura loteryjne, które zarzucają swymi „planami nadzwyczajnych loteryj" kraj cały. — Oto parę ustępów wyjętych z jednego z takich zawiadomień, który mamy przed oczami, zalecających przystąpienie do gry. Czytamy tam: „110.000 losów, z których 55.000 wygrać muszą, to jest akuratnie połowa losów wygrywa (lub też każdy drugi los na pewno) wielką wygranę, lub też taką wygraną wygrać musi, która wpłaconą wstawkę kilka razy przewyższa" i t. d. i t. d.

Nie dziw, że na takie zapewnienia łatwowierni biedacy, jak na lep muchy się łapią, naprawdę zaś należą do owej połowy losów, które nie wygrywają.

Zbytecznymi są tu wszelkie wyjaśnienia! Smutnych zaś przykładów. spowodowanych grą na loteryi, na setki przytoczyćby można. Podjąć zatem dzia-

łalność przeciw tej ruinie moralnej i materyalnej, jest obowiązkiem każdego człowieka, noszącego w sercu prawdziwą miłość bliźniego, a do dzienników należy odradzanie gry przez odpowiednie artykuły.

Dodać winniśmy, że owe domy bankowe przy przesyłaniu swoich planów loteryi, unikają na kopercie położenia swojej firmy, mając już pewne doświadczenie, że adresaci świadomi złego, znający się już na takich planach, nie przyjęliby ich wtedy.

Jest to przezorność dobrze obmyślana tem większa, że często wraz z planem nadsyłają losy, za które później, jeżeli nie są zwrócone, roszczą sobie pretensye do uiszczenia zapłaty, choćby to było już po owem złotodajnem ciągnieniu!

Jest to więc śmiałe bardzo oszustwo!

Ze wsi.

Polacy w Niemczech. Do *Kuryera Poznańskiego* donoszą z kół duchowieństwa niemieckiego ze Zachodu, iż do rąk wszystkich proboszczów, w których parafiach Polacy się znajdują, doszedł okólnik biskupi następującej treści: „1) Księża proboszczowie mają się o to starać, aby Polacy mieli sposobność do spowiedzi w języku ojczystym i aby wygłaszano od czasu do czasu kazania polskie, ale tylko po południu. 2) Unikać należy wszystkiego, coby podniecało narodową ideę polską. 3) Dzieci polskie wolno tylko w języku niemieckim przygotowywać do Sakramentów świętych. 4) Nikomu nie wolno zaprowadzać t. zw. Mszy polskiej, tj. Mszy połączonej z polskim śpiewem, gdyż co do tego decyzya tylko biskupowi przysługuje“.

Konfiskata śpiewniczka polskiego. Gnieźnieńska policya skonfiskowała w księgarni p. J. Wiśniewskiego nakładem firmy tej wydany w r. 1899 śpiewniczek pod tytułem: „Zbiór pieśni dla młodzieży i terminatorów“ w ilości całego nakładu 415 egzemplarzy. Konfiskata nastąpiła na wniosek prokuratoryi w Ostrowie po odbytej rewizyi w towarzystwie terminatorów w Koźminie, w którem kilka egzemplarzy śpiewnika tego się znajdowało. W śpiewniczku były pieśni: „Bracia rocznica“, „Rży mój gniady“, „Patrz Kościuszko na nas z Nieba“, „Nie tak *in illo tempore* bywało“ i inne.

Wieprzowina z trychinami. Jeden gospodarz pod Płockiem, zabił, jak zwykle, w wielkim poście na początku marca wykarmionego wieprza, mięso posolił i porobił z niego szynki i kiełbasy. Gdy przyszedł czas na spożywanie mięsiwa, a więc zapewne w święta, na święconem, uczęstowani niem domownicy i goście owego gospodarza pochorowali się i wkrótce czworo z nich pomarło, a osiemnaścioro pozostało w ciężkiej niemocy i obawie, czy też ich los nie taki sam będzie. Wezwani lekarze nie mogli z początku dojść przyczyny wypadku. Dopiero zbadawszy pozostałą wędlinę przez szkła powiększające, znaleźli w niej pełno trychin, niezmiernie drobnych robaczków, które nieraz rozmnażają się w mięsie żywych świń, a dla człowieka są zabójcze. Nie wiemy jednak, napewno dokładnie, w której wsi i którego dnia to nieszczęście się stało. Gazeta, wychodząca w Płocku, pisze, iż było to w Chełpowie dnia 10 marca, „Kuryer Warszawski“ zaś, że w Maszewie na Wielkanoc. Niech ten wypadek jednak nauczy a drugim przypomni, że wieprzowinę niezbadaną zapomocą szkieł przez lekarza, należy jeść nie inaczej, jak po doskonałem jej ugotowaniu lub upieczeniu, bo na ogniu trychiny, jeśli są, poginą.

Pozycya podczas snu. Za najodpowiedniejsze położenie ciała człowieka podczas snu lub spoczynku należy uważać położenie na prawym boku. Wprawdzie dla człowieka zdrowego warunek ten nie ma wielkiego znaczenia i żadne położenie nie jest dlań szkodliwem, jednak przy położeniu na prawym boku powstają najdogodniejsze warunki dla krążenia krwi w płucach, a także na działalność serca. Większe znaczenie ma położenie ciała podczas snu dla ludzi chorych, a w szczególności dla cierpiących na płuca i serce.

Dla chorych takich jest szkodliwe zarówno położenie na wznak, jak i na lewym boku. Pierwsze wytwarza niewygodne warunki dla krążenia krwi w płucach, utrudnia odpływ śluzu i powiększa duszność, położenie zaś na lewym boku wywołuje przemieszczenie powiększonego serca na lewo, utrudnia ruchy serca i powoduje rozmaite nieprawidłowe dolegliwości. Dolegliwości te są wprawdzie przedmiotowe, nie towarzyszą im żadne widoczne zmiany w działalności serca, jednak u ludzi cierpiących na serce należy unikać wszelkich podrażnień, wszelkich warunków naruszających spokój i równowagę ustroju.

Jak trzymać głowę w czasie snu. Dawniejsi lekarze byli zdania, że w czasie snu należy głowę umieścić wyżej niż resztę ciała; nowsi, uwzględniając obieg krwi, który, przy poziomem położeniu całego ciała ludzkiego wraz z głową odbywać się może, doradzają aby nie pościelać zbyt wysoko pod głowę, zwłaszcza w czasie chorób gorączkowych. Czytaliśmy także w jednem z pism lekarskich, że Dr. Hilty w St. Gallen w Szwajcaryi zrobił odkrycie, które następnie doświadczeniami stwierdził, iż najkorzystniejsze dla organizmu położenie głowy w czasie snu jest to, gdy głowa znajduje się niżej niż ciało. Na sobie samym stwierdził on, że po nocy przespanej z głową w położeniu niższem niż ciało, budził się wcześniej, a po przebudzeniu czuł się daleko rzeźwiejszym i zdolniejszym do pracy, nigdy też nie doznawał bólu głowy. Zaleca przeto niższe położenie głowy w czasie snu, zwłaszcza jako środek na bezsenność i cierpienie głowy.

Dwanaście przykazań dla młodych gospodarzy.

1. Staraj się służbę krótko trzymać, lecz traktuj ją uczciwie; strzeż się niepotrzebnych gderań, łajań,

przezwisk i t. p. Co obiecasz, dotrzymaj, choćby sługa nawet nie był wart tego. Ostro a uczciwie i sprawiedliwie traktuj służbę, a przywiążesz ją do siebie.

2. Pełen żołądek to rzecz najważniejsza, bo przysłowie mówi: „Polak jak głodny, to zły“. Dla tego trzy razy na dzień gotowaną, smaczną strawę i dostatnio niech mają.
3. Staraj się, ażeby w niedziele i święta chodzili do kościoła.
4. Parobcy i dziewki potrzebują rozrywki, pozwól im czasem iść gdzieś na zabawę, ale nie do karczmy, lecz do domu prywatnego.
5. Nietylko ludzie ale i woły i konie niech mają w niedzielę wypoczynek. W dzień poprzedni przygotować tak wszystko, żeby w dzień świąteczny nie było żadnego zajęcia.
6. Staraj się każdą słabość, czy to u ludzi, czy u bydła leczyć starannie i dopóki się nie zastarzeje.
7. Jak służbę, tak i inwentarz nie obciążaj zbyteczną pracą.
8. Paszę dla bydła w zimie staraj się tak rozdzielić, żeby zawsze było jednakowo, nigdy mniej, ani więcej.
9. Staraj się mieć psy łańcuchowe, dobrze żywione, w suchem i ciepłem miejscu umieszczone, bo dobry pies więcej wart niż stróż nocny.
10. Staraj się, żeby latarnia była zawsze oszklona i gotowa do zaświecenia.
11. Pamiętaj o przyrządach ogniowych, żeby zawsze były w porządku i na swojem miejscu.
12. Wstawaj sam pierwszy, a idź spać ostatni, bo nic tak jak oko gospodarza nie zabezpiecza od wypadku.

Barbarzyństwo generała rosyjskiego. Na jakie wybryki może pozwolić sobie generał (zresztą nietylko generał) moskiewski, świadczy fakt, podany przez ostatni zeszyt *Oswobożdienia:*

Około 14 marca (st. st.) około godziny 8 wieczorem, naczelnik zakaspijskiej brygady kozackiej, generał-major Kowalew zawezwał do siebie przez telefon starszego lekarza średnio-azyatyckiej drogi żelaznej, Mikołaja Zabusowa. Wszedłszy do mieszkania generała, lekarz zastał go w towarzystwie jakiegoś cywilnego przy butelce wina. Kowalew przywitał się, następnie podał kieliszek i nie chcąc narazie mówić o celu wezwania, pomimo protestów Zubusowa, trącił się z nim, mówiąc: „Za wasze zdrowie“.

Lekarz jednakże nie zdążył dopić kieliszka, gdy wpadło do izby ośmiu kozaków, którzy obnażyli go, przewrócili na podłogę i jęli siec nahajami najpierw poniżej krzyża, następnie odwróciwszy ofiarę, po brzuchu. Jak utrzymuje doktor Z., przyczyny tego gwałtu pojąć nie może, gdyż z generałem żadnego nie miał zatargu.

Skutkiem tego zdarzenia Towarzystwo lekarskie w Aschabadzie, wyraziwszy oburzenie generałowi, a współczucie koledze, sprawę o gwałt skierowało na drogę sądową.

O fakcie tym notatkę odważyły się podać *Russkija Wiedomosti*, ale bez wskazania miejsca i nazwisk.

Podobno generał, zawieszony w służbie przez generał-gubernatora, ale protegowany najbliższej swej zwierzchności, wysłał do Petersburga raport, że czuje się winnym, lecz gotów jest za to udać się na pole walki.

Tem też prawdopodobnie skończy się całe zajście. Generał otrzyma 7—8 tysięcy rubli na przejazd.

Kowalew znany jest jako złodziej, prześladowca żołnierzy i gwałciciel kobiet. Kilku kozaków i żonę pewnego oficera doprowadził do samobójstwa. Ładne „naczalstwo“ posiada carska armia!

Karmienie drobiu. Żywiąc drób tak zwaną miękką tj. gotowaną paszą jak ziemniaki, lemieszki różne itp. bardzo często marnuje się karmę, rzucając ją wprost na ziemię. Nietylko, że się ją marnuje, ale i zanieczyszcza. Bardzo łatwo tego uniknąć, podając tę karmę na desce umyślnie do tego przeznaczonej, którą codziennie należy oczyścić i obmyć. Koszt nieznaczny, pracy niewiele, a pożytek duży.

Zwierzęta podczas pożaru trudno wypędzić ze stajen i chlewów. Konie wyjdą łatwo, gdy się szybko na nie włoży pólszorki lub siodła, są bowiem zwyczajne w ten sposób wychodzić ze stajen. Bydlętom należy płatami oczy zawiązać. Świnie chwytać należy za uszy i za tylne nogi i w ten sposób wyciągać. Owce są najlękliwszemi i często, wypędzone z owczarni, znów w przestrachu, oślepione jasnością ognia, tłumnie gwałtem cisną się napowrót do owczarni. Należałoby je przyzwyczajać do opuszczenia owczarni w ten sposób, że się je raz po razie w nocy wypędzi z owczarni na podwórze.

Tani pokarm dla kur na lato. Żywienie robakami wychowanymi w dołach jest, jak wiadomo, dość upowszechnione po gospodarstwach za granicą. W stosownej wielkości dole układa się naprzemian warstwami świeży gnój koński i ziemię, sieczkę lub plewę, trociny drzewne przegniłe, aż do całkowitego zapełnienia dołu, poczem zostawia się dziesięć do czternaście dni, a po tym czasie wyrzuca częściowo to wszystko na pokarm kurom, które znajdują w tem mnóstwo robactwa. Założywszy dwa takie doły i naprzemian napełniając je gnojem, ziemią i tymi dodatkami, stale się można zaopatrzyć w pokarm niekosztowny na całe lato dla kur.

Pouczenie o pomorze kur. C. k. Namiestnictwo wydało następujący okólnik: „W ostatnich latach pojawiła się w niektórych okolicach zaraza u drobiu,

co do objawów bardzo podobna do cholery drobiu, która zwłaszcza dla kur jest nader niebezpieczna.

Według przedsięwziętych badań zarazy tej nie wywołuje ten sam zakaźnik, który jest przyczyną cholery drobiu.

Dla tej zarazy przyjęto nazwą „pomoru kur“.

Zarazek, wywołujący tę chorobę, którego dotąd nie wykryto, znajduje się we krwi, w kale i wydzielinie nosowej zwierząt chorych. Stosownie do tego zaraza szerzy się za pośrednictwem odchodów (kał, wydzieliny nosowe) żywych, oraz krwi i wnętrzności bitych zwierząt, jakoteż za pośrednictwem padlin zwierząt, uległych zarazie. albo też z powodu niej dobitych.

Z drobiu domowego zapadają na pomór głównie kury, które giną w 2 do 4 dni — rzadko później — przyczem podobnie jak przy cholerze drobiu całe stada kur w krótkim czasie wyginąć mogą.

Zaraza objawia się posmutnieniem, nastroszeniem pierza, śpiączką i oznakami porażenia. Prócz tego często dostrzedz można obrzmienie spojówek oka. Biegunka, która cechuje cholerę drobiu, nie zdarza się przy pomorze kur.

Ponieważ zaraza ta co do sposobu rozwlekania i wytrzymałości zarazka nie różni się zasadniczo od cholery drobiu, przeto przy zapobieganiu jej szerzeniu się należy przestrzegać te same zasady. według których postępować się powinno przy cholerze drobiu“.

Posiadacz drobiu obowiązany jest w razie pojawienia się pomoru kur powiadomić o tem Zwierzchność gminną i zażądać doniesienia c. k. Starostwu.

Użyteczność siemienia lnianego. O użyteczności siemienia lnianego, szczególniej przy wychowie i wyżywieniu naszych domowych zwierząt, za mało wiemy i za mało z niej korzystamy. Najczęściej jeszcze używany jest roztwór makucha lnianego w letniej wodzie jako leczniczy środek w kataralnych słabościach.

A przecież siemię lniane w wielu wypadkach cenne usługi może oddać gospodarzowi. I tak: koniom, które w czasie zmiany włosów, czyli lenienia się, czy to jesiennego, czy też wiosennego, (a które w tym kilka tygodni trwającym okresie, zwykle są osłabione), bardzo dobrze służy zadawanie odwaru z siemienia lnianego.

Nim konie lenić się zaczną, zaczyna się już co drugi lub co trzeci dzień gotować po garści siemienia na głowę, a odwar taki po ostudzeniu do letniej cieploty daje się koniom pić. Konie regularnie pojone jakim odwarem w krytycznym czasie przez mniej więcej 4 tygodnie nietylko, że się lenią łatwo, szybko nowym włosem okrywają, ale i nowa sierść jest gładka, połyskliwa, dobrze ciało zwierzęcia okrywająca, co utrudnia przeziębienia, a stąd powstajace zołzy, a jeżeliby nawet konie zołzowały, to przebędą chorobę lekko.

Krowom, mającym się cielić, dobrze jest na 2 do 3 tygodni przedtem dawać po garści rozgotowanego siemienia w poidle.

Ułatwia to wycielenie samo, a wpływa także na mleczność krowy. Jeżeli po wycieleniu oczyszczenie się krowy nie przychodzi prędko (w ciągu doby), dobrze jest dawać jej podobny odwar trzy razy dziennie, a oczyści się łatwo i pewnie.

Prosięta chorowite łatwo przychodzą do zdrowia, gdy im podajemy rozgotowane siemię lniane.

Na zapalenie kopyt czy też racic, rany lub skaleczenie w tychże — okłady z rozgotowanego siemienia lnianego działają daleko lepiej, niż zwykle do tego celu używane łajno bydlęce, lub glina z octem, gdyż i dłużej chłodne pozostają, a zarazem nie wysychają tak prędko, jak tamte.

W niestrawności i wogóle w cierpieniach przewodu pokarmowego, odwar siemienia lnianego z bardzo dobrym skutkiem jest używany. Łagodzi cierpienia, wzmacnia sam przewód, a także i zwierzę odżywia szybko.

O tem, że makuchy lniane są najlepsze ze wszystkich, które mieć możemy z naszych gospodarstw, nie mówimy, bo odżywczość ich powinna być każdemu rolnikowi znana.

Dlatego też rolnicy nie powinni zaniedbywać uprawy lnu, jeżeli już nie dla włókna, o którego pożyteczności i potrzebie przekonywać nikogo chyba nie trzeba, to dla siemienia, które tyle i tak cennych przymiotów dla gospodarza posiada.

Gospodarstwa rybne. Właściciele gruntów, nadających się do założenia gospodarstwa rybnego, mogą korzystać z bezpłatnej pomocy Wydziału krajowego. Na podanie, wniesione do Wydziału krajowego, Wydział deleguje inspektora rybactwa, który przybywszy na miejsce i zbadawszy teren, wypracowuje plany i udziela fachowej porady.

Oprócz tego w myśl uchwały Wysokiego Sejmu z 26 października 1903 r. właściciele istniejących już gospodarstw rybnych mogą otrzymać pomoc fachową co do dalszego prowadzenia swych gospodarstw rybnych tak pod względem technicznym, jak i gospodarczym.

U drzew owocowych pestkowych, jako to: u śliw, wiśni, brzoskwiń itp., wyrastają częstokroć z korzenia liczne pędy, wstrzymujące wzrost drzew. Przyczyną tego jest zbyt głębokie okopywanie i wzruszanie ziemi około drzew. U tych drzew idą bowiem korzenie płytko, a każde skaleczenie korzenia przy okopywaniu wytwarza ranę, z której pęd następnie wyrasta. Drzewa pestkowe należy zatem tylko płytko okopywać, gdy przeciwnie inne drzewa owocowe wymagają głębszego okopywania.

Których nawozów sztucznych nie należy z sobą mieszać. Superfosfatu nie mieszać z wapnem ani z żużlami Thomasa. Amoniaku nie mieszać ani z wa-

pnem, ani z żużlami Thomasa. Wapna palonego nie należy mieszać z gnojem. Niektóre nawozy sztuczne można mieszać z sobą, ale już wtedy, kiedy się je rozsiewa w polu, np. wapno palone z kainitem, albo żużle Thomasa z kainitem. Inne nawozy można mieszać z sobą, np. saletrę z żużlami Tohmasa, żużle Thomasa z wapnem, kainit z gnojem, superfosfat z gnojem, i superfosfat z saletrą chilijską.

Dola wychodźców. Do jednej z lwowskich redakcyj pism zgłosiło się czterech ludzi, którzy przed miesiącem z partyą liczącą 83 osób, udali się do Besarabii na roboty. Wysłało ich tam tutejsze biuro pracy na zamówienie cukrowni z Zatożan. Według opowiadania przybyłych, męczono ich tam w okropny sposób. Przez cały miesiąc pracowali tylko za lichą strawę. Odmawiano im wbrew umowie wszelkiego wynagrodzenia pieniężnego. Zaraz z początku uciekło 10 robotników, nie mogąc znieść prześladowań i nie wiadomo, co się z nimi stało. Czterej inni, ci, którzy właśnie przybyli do Lwowa, zgłosili się do konsula austryackiego w Nowosielicy, a ten odesłał ich do kraju.

Powrót ze Saksów. Robotnicy galicyjscy, którzy wyjechali do Prus na roboty, wracają o żebraczym chlebie napowrót do Galicyi. Onegdaj cała partya robotników z Zaleszczyk zgłosiła się w przemyskiej policyi, prosząc o odstawienie do miejsca przynależności. Robotnicy ci byli tak wycieńczeni głodem, iż na nogach utrzymać się nie mogli. Zdjęci litością żołnierze policyi dali im kilkanaście bochenków chleba komiśnego, a komisarz policyi zakupił dla nich kilka litrów mleka.

* * *

Dwie gospodynie przychodzą z gęsią do wójta: każda z nich twierdzi, że gęś do niej należy. Wtedy wójt pyta:

Józefowa, czy ta gęś jest Janowej?

Józefowa: Nie.

Wójt: Janowa, czy ta gęś jest Józefowej?

Janowa: Nie.

Wójt: Kiedy gęś nie jest ani wasza, ani wasza, to gęś jest moja. Weź ją ta Jontek, niech ją matka zarżnie.

* * *

Żyd ciężko chory mówi do żony: Proszę cię, Sura, ustrój się pięknie, jak na wesele.

Żona: A to na co?

Żyd: Bo jak anioł śmierci przyjdzie do mnie i ciebie ujrzy w takiej piękności, może mu się spodobasz i weźmie ciebie, a mnie da pokój.

* * *

— Słyszałeś? wczoraj policyant wprost od ołtarza zabrał pannę młodą.

— A to skandal! I jakiż powód?

— Bo się z nią ożenił.

* * *

Przynoszą dziecko do chrztu, a ksiądz pyta według przepisu:

Czego żądasz od Kościoła Bożego?

A chłop na to: Wy ta jegomość lepiej wiecie, to cóż się pytocie.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Walka z owadami. Z szkodników zwierzęcych najwięcej straty drzewom przynoszą owady. Ważniejsze sposoby zaradcze lub niszczące szkodniki są:

Zbierać gniazda oprzędzone w suchych liściach, w zimie po śniegu i palić je. Zbierać też i pierścionki na gałązkach i kutner złotawy lub szary (plamki włosien, niby futrem okryte), na korze i pod gałęziami napotykane.

Niszczyć gąsienice, zbierające się gromadkami w początku czerwca, w rozdwojeniach gałęzi.

Otrząsać chrabąszcze majowe rano po rosie, zbierać w worki i dawać je trzodzie lub zabijać ukropem i dodawać do kompostu.

Założyć pończochy tj. szmaty wełniane, na 20 cm. szerokie, naokoło pnia, przywiązane w środku, a następnie na dół odwinięte, jak pończocha. Pod temi „pończochami" założonemi na początku czerwca i trzymanemi do końca września, gromadzi się dużo szkodników, które co kilka dni trzeba zniszczyć, odwijając pończochę; pająkom dać jednak pokój.

Palić na ogrodzie w ciągu czerwca, lipca i połowy sierpnia, w dnie pogodne o zmierzchu — ognie z gałęzi lub chrustu, albo też lampy, ustawione w balii z wodą i nakryte daszkiem blaszanym, aż do wody prawie sięgającym. Owady zwabione światłem chcąc się do niego dostać, topią się.

Rozwieszać na gałęziach, na krótkim sznurku, flaszki (najlepiej z białego szkła) napełnione do połowy wodą, osłodzoną syropem; szyję flaszki we środku posmarować sokiem malinowym. W te flaszki nałapie się dużo owadów, a między innemi os i mrówek, które to ostatnie zajmują się hodowlą i roznoszeniem mszyc.

Obrączki lepkie. W końcu września przywiązać około pni, poniżej koron, paski grubego papieru, na 15—20 cm. szerokie, raz u góry i raz u dołu; osmarować je lepem ptasim lub smołą z olejem lub dziegciem, lub mazią, które to smary trzeba odnowić gdy zaschną. Na tych pierścieniach grzęzną i giną szkodliwe motylki przedzimki, których samice mogą tylko pełzać po pniu, a nie fruwać. Są to wielkie szkodniki.

Wstrząsać. Gdy drzewa zaczynają kwitnąć, wczesnym rankiem wstrząsać niemi raptownie i silnie, lub uderzać w pnie młotem, grubo pakułami owiniętym,

by na podstawione płachty spadały różne szkodniki, zwłaszcza chrząszczyki.

Namawiać sąsiadów, by niszczyli szkodniki wskazanymi tu sposobami.

Uwaga. Kto owadów szkodliwych w sadzie swoim nie zbiera i nie niszczy, ten powinien być zapozwanym do sądu i tam według prawa skazanym na karę, a to według uznania sędziego i szkody, jaką to jego niedbalstwo spowoduje sąsiadom.

Niszczenie zielska. Wilgoć i deszcze sprzyjają rozrastaniu się zielska w alejach i między kamieniami na brukowanych dziedzińcach. Ponieważ gracowanie trwa za długo, można zastosować następujący szybki i krótki sposób: Do wrzącej wody wrzuca się na każde 60 litrów 6 kg. wapna i 1 kg. siarki sproszkowanej. Po wymieszaniu i rozcieńczeniu podwójną ilością wody, gdy płyn się ustoi, polewa się nim odnośne miejsca. Zielsko zostaje zniszczone natychmiast na parę lat.

Lekarstwo na koziniec. Koziniec, jest to choroba u koni, która się w ten sposób objawia, że im w kolanach skrzypi. Trzeba wziąć parę strączków pieprzu tureckiego (papryki) zalać kwaterką spirytusu i zostawić, aż spirytus nabierze barwy piwa. Osobno w kwaterce spirytusu rozmoczyć kamfory za 10 cnt. następnie rozpuścić garść zwykłej soli w kwaterce wody przegotowanej. Wszystko to razem zmieszać i nacierać koniowi nogi dwa razy na dzień, biorąc łyżkę tego płynu na każdy raz.

Rośliny pastewne szybko rosnące. Niema takich traw, któreby można kosić już po zasianiu, to jest te, które należą do roślin trwałych i kilka lat zbierać je można. Ale kto chce mieć prędko paszę dla krów, to może siać mieszaninę złożoną ze szporku, gorczycy białej i tatarki. Wszystkie te rośliny rosną bujnie i bardzo szybko.

Rozwolnienie u prosiąt. Rozwolnienia dostają prosięta zwykle wtedy, kiedy liczą kilka tygodni wieku. Słabość występuje dość nagle, często epidemicznie, przyczem prosięta nie mają apetytu i z pewną chciwością chlepią gnojówkę, są smutne, zdradzają cierpienie, zagrzebują się w podściółkę: odchody ich są maziste, żółtawe, woni odrażająco kwaśnej. Przyczynami tej choroby są: przeziębienie, wilgotna podściółka, nieczystość w utrzymywaniu i karmieniu, czasami zaś zanadto obfite odżywianie maciory, której mleko staje się wskutek tego zanadto silnem. Na chorobę tę ginie wiele prosiąt.

Także występuje rozwolnienie u prosiąt wtenczas, gdy maciora się huka. Najpierw trzeba przyczyny usunąć, prosięta utrzymywać o ile możności ciepło i odczyszczać stajnię za pomocą trzech procentów lyzolu albo kreoliny. Jako leki bywają polecane: kwas salicylowy i tannina, z każdego po 0·25 gr. w odwarze rumianku. Wysypywanie podściółki torfowej w chodnikach i kałużach stajen prosięcych miało się okazać pod względem zdrowotnym bardzo dobrem. Często jednakże jest rozwolnienie u prosiąt nie chorobą samą dla siebie, ale wyrazem innych stanów chorobliwych. Chore zwierzęta mają się n. p. w pierwszych dwóch lub trzech tygodniach pozornie bardzo dobrze, są tłuste i mają wygląd zdrowy. Nagle słabną, skóra ich i błony śluzowe bledną widocznie, występuje kaszel i trudność oddechania, poczem następuje rozwolnienie, wyczerpujące soki i siły, powodujące śmierć. Za główną przyczynę tej słabości, która składa się z niedostatku krwi i wychudnięcia wszystkich części ciała, uważają forsowanie hodowli świń przy niestosownem odżywianiu, jednostronnym celu hodowli, skierowanym do nadmiernego wytwarzania mięsa i tłuszczu u świń, które wychować chcemy, i używanie zanadto tłustych zwierząt do rozpłodu.

Krwawienie u bydła. Przyczyną krwawego moczu najczęściej bywają pastwiska leśne, rośliny zawierające ostre soki, jak: jaskry, wilczomlecz, janowiec, szczyr, czerwień łąkowy, borówki, łochynie i czernice, pączki wiosenne z drzew sosnowych, jodłowych, olchowych i dębowych. Niekiedy też przyczyną tej choroby jest nagłe przejście z paszy obfitej i posilnej do chudej i niedostatecznej.

Z początku mocz odchodzi tylko zabarwiony na czerwono, mocno pieni się przy wydzielaniu. jest mętny i gdy go zostawić spokojnie w naczyniu, to po jakimś czasie na dnie zbierze się osad czerwony. W początku choroby bydlę zwykle można wyleczyć; później, gdy nastąpią powikłania. już bywa to trudniej.

Jak tylko spostrzeżesz, że bydlę zaczyna moczyć krwawo, zostaw je w oborze, lub wypędź na lepsze pastwisko i dawaj do picia klejisty napój (klejik ugotowany z owsa i jęczmienia), napój z mąki żytniej, a także mleko. W początkach choroby wystarczy to do wyleczenia. Jeśli jednak choroba postąpi dalej, to weź z apteki proszku blekotu 5 łutów, cukru ołowianego 2 łuty, zarób z mąką i wodą i zrób z tego 8 gałek, który zadawaj cztery razy dziennie po jednej gałce na raz. Zamiast tego można też dawać bydlęciu odwar lniany po połowie z odwarem kory dębowej, a to dwa razy na dzińe, rano i w wieczór, po pół kwarty. Prócz tego nałóż na krzyż grubo wilgotnej gliny i co dwie godziny polewaj wodą.

A. S.

Zasilenie owsa saletrą. Gdy owies źle rośnie, to można go zasilić przez rozsypanie po wierzchu saletry czylijskiej. W tym celu rozsypuje się ją raz wcześniej, a drugi raz przed kłosowaniem, za każdym zaś razem po 50 funtów na mórg. — Aby poprawić urodzaj zbóż i ich namłotność na gruncie, radzę oprócz gnoju dawać pod oziminy na każdy mórg 4 do 5 centnarów żużli Tomasa. *A S.*

Robactwo na kapuście. Liszki pochodzą od motyla białego zwanego kapustnikiem, który składa jajka na liściach kapusty. Z jajek wylęgają się liszki, którym liście kapusty służą za pokarm. Żeby uchronić kapustę od tego robactwa. trzebaby odpędzić od niej motyle, ale dotąd pewnego sposobu na to uczeni rolnicy nie znają. Jedni radzą obsiać kapustnik konopiami, których zapach odstrasza jakoby motyle; inni radzą potrząśnąć kapustnik plewami z konopi; inni wreszcie zalecają jako pewny sposób rozłożenie po kapuście tataraku. Trzeba więc spróbować którego z tych sposobów. *A. S.*

Robactwo na agreście. Robakami temi są liszki niedużej muszki zwanej agrestowcem *(Nematus Ribessi).* Muszki te zjawiają się na wiosnę najczęściej w maju i składają jajeczka w krzakach agrestu, przyczepiając je do dolnej, spodniej powierzchni liści. Z jajeczek wylęgają się gąsieniczki czyli liszki zielone z szaremi kropkami, które później zmieniają nieco swą barwę na niebieskawo-zieloną. Są one bardro żarłoczne, a żywią się liśćmi agrestu. Po kilku tygodniach od wylęgnięcia się z jajeczek, gąsienice agrestowca spuszczają się z krzaka na wysnutych z siebie niteczkach, zakopują się niegłęboko w ziemię i tam przemieniają się w poczwarki. Po jakimś czasie, tego samego jeszcze lata, z poczwarki wychodzi muszka, która wydobywa się z pod powierzchni ziemi i znowu na liściach agrestu składa jajeczka. Wylęgłe z nich gąsienice zakopują się pod jesień w ziemię i tam zimują jako poczwarki, z których znowu w maju owad skrzydlaty wyłazi. Owad to bardzo szkodliwy, a niszczy nietylko agrest, ale też porzeczki i inne podobne rośliny.

Gąsienice agrestowca można truć na liściach za pomocą miału wapiennego zmieszanego z siarką w proszku, czyli z kwiatem siarczanym. Na każde pięć łutów wapna trzeba brać jeden łut kwiatu siarczanego. Proszkiem tym posypuje się liście i gałęzie, albo lepiej opyla się nim cały krzak, naprzykład za pomocą mieszka. Prócz liszek na krzakach, trzeba niszczyć i poczwarki w ziemi, żeby z nich muszki się nie wylęgały. W tym celu po opadnięciu gąsienic na ziemię przekopuje się ją dokoła krzaku na sztych łopaty, miesza się przytem z miałem wapiennym i pozostawia nieugranioną, żeby powietrze łatwiej w głąb przenikało. *U—t.*

Łatwy sposób rozmnażania drzew owocowych. W *Wieńcu*, piśmie lwowskiem, ktoś tak pisał: Kilkanaście lat zwykle upływa, nim z ziarnka lub pestki zdołamy dochować się owoców. Ja jednak radzę sobie inaczej i mam w trzy, a najwyżej w cztery lata owoce z drzew. Na jakimkolwiek drzewie owocowem upatrzę sobie najprostszą gałąź, biorę nóż, przerzynam korę na większą część grubości gałęzi wokoło, a potem tę ranę okręcam cieńkiem, słomianem, poprzednio w krowim gnoju zmaczanem powrósłem kilka razy, tak grubo, że na ranie i około niej robi się jakby kula, pięć albo i sześć razy grubsza niż gałąź. Słomę tę polewam potem dobrze wodą, aby ciągle była wilgotna. Po dwóch miesiącach gałąź ta wypuszcza korzenie w ową kulę słomianą. Wtenczas odrzynam ją od drzewa i wsadzam razem z tą kulą słomianą w ziemię. Z gałęzi tej wyrasta mi nowe drzewo, którego już uszlachetniać przez szczepienie nie potrzeba.

Tępienie mrówek. W celu wyniszczenia mrówek w ogrodach można z dobrym skutkiem posypywać miejsca, gdzie się mrówki gromadzą, sproszkowanem wapnem, albo popiołem. W Ameryce zalecają w tym razie skropienie mieszaniną składającą się z 2 kg. siarkanu miedziowego, 2 kg. wapna niegaszonego i 200 l. wody. Całe mrowisko można też wyniszczyć przez zalewanie (zaczynając od brzegu, nie od środka) gorącą wodą, lub co jeszcze lepiej, gorącym ługiem w porze wieczornej, kiedy mrówki na noc do mrowiska ściągną.

Oczyszczanie wody watą. Często się trafia, zwłaszcza gdy wody używa się z rzeki, która wzbiera, że takowa staje się mętną, tak, że jej ani do picia, ani do gotowania użyć nie można. Z różnych środków do czyszczenia takiej wody podawanych, przypominamy jeden, który ma tę zaletę, że jest prosty i tani. Do wrzącej wody wrzucić listek waty takiej szerokości mniej więcej, iżby pokrywał wierzch wody. Szumowiny zbiorą się na nim zaraz, które wyrzuciwszy z watą, otrzyma się wodę mniej więcej czystą.

Opadanie tynku z budynków. Utrzymanie w porządku otynkowania murowanych budynków naraża na znaczne koszta, szczególniej na wsi, gdzie większość budynków na działanie słót i wichrów jest wystawiona. Uniknąć można tych ciągle powracających się wydatków, jeżeli zamiast tynku zwykłego z wapna i piasku, użyjemy tynku z 1 części wapna zgaszonego (śmietany wapiennej), 2 części cementu a 6 do 12 części piasku. Zaprawa taka, dana na dobrze oczyszczoną ścianę dobrze się chwyta i niełatwo odpada. Od słonecznej strony, wyprawiać trzeba pod wieczór, gdy już słońce nie przypieka. Również na wilgotne ściany jest zaprawa ta bardzo dobra.

Roczników „Przodownicy“ z lat dawnych nie posiadamy. Nr. 1 z roku 1904 jest wyczerpany.

Zachęcajcie drogie Czytelniczki i Czytelnicy „Przodownicy“ do prenumerowania tego pisemka.

Z powodu wyjazdu współpracowniczek „Przodownicy“ na czas wakacyjny — obecnie wydajemy ten numer za dwa miesiące z góry, za lipiec i sierpień; następny zaś wyjdzie w październiku za wrzesień i październik.

Administracya.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni M. Siedlecka.
W Krakowie — czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.

Dodatek do Nru 7 i 8 „Przodownicy“ z r. 1904.

WŁADYSŁAW REYMONT.

CHŁOPI.

POWIEŚĆ. — (W skróceniu.)

JESIEŃ.

(Ciąg dalszy.)

Kuba wypił, ale że go już nieco zamroczyła gorzałka, to buchnął pięścią w ławkę i krzyknął:

— Cztery papierki i rubla zadatku dołoży, to ostanę.

— Widzi mi się, żeś pijany, abo ci się w głowie popsuło! — zawołał Boryna, ale Kuba nie słyszał gospodarskiego głosu, więc rozprostowywał skurczoną duszę, rósł w ambit i taką pewność siebie, jakby samym gospodarzem się poczuł.

— Cztery papierki i jeszcze jeden zadatku dołoży, to u niego ostanę — a nie, to psiachmać na jarmark pójdę i służbę se znajdę, choćby i na furmana do cugowych we dworze... Znają mię, iżem robotny i na wszystkiem, w polu czy kiele domu, się znający, że niejednemu gospodarzowi bydło paść u mnie, a uczyć się... A nie, to ptaszki strzelał będę i dobrodziejowi nosił, abo i Janklowi... A nie...

— Cie!... kuternoga jeden jak bryka!... Kuba! — krzyknął ostro stary.

Kuba umilkł, wytrzeźwiał z rozmarzenia, ale hardości nie stracił, bo jął się nieustępnym czynić i targował się zawzięcie, że Boryna rad nierad dorzucał mu po pół rubla, to po złotówce, aż i stanęło, że obiecał mu na przyszły rok dołożyć trzy ruble i dwie koszule miasto zadatku.

— Ho, ho, ptaszek z ciebie! — wołał stary, przepijając do niego na zgodę, choć zły był, że tyla pieniędzy wywalić musi, ale wagować się nie było co, bo Kuba wartał i więcej, robotny był parob, choćby i za dwóch, gospodarskiego nie ruszył i o inwentarz dbał więcej niźli o siebie, a choć i kulawy był i mocy wielkiej nie miał, ale na gospodarstwie się znał, można się było całkiem spuścić na niego, że wszystko jak przynależało zrobi i jeszcze najemnika przypilnuje.

Poredzili jeszcze o tem i o owem, a potem się rozeszli, bo jutro trza było do dnia wstać. Jakoż i nazajutrz jeszcze przed świtaniem, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa zaroili się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark.

I z Lipiec wychodzono od wczesnego rana.

Tyla narodu szło, jakby wieś cała wychodziła.

Szli gospodarze co biedniejsi, szły kobiety, szły parobki, dziewczyny, i komornicy też szli, a i biedota sama — najemnicy takoż ciągnęli, bo jarmark to był ten, na którym godzono się do robót i zmieniano służby.

Kto co kupić, kto sprzedać, a jensi byle jarmarku użyć.

Któren wiódł na postronku krowinę albo i cioła, kto zaś gnał przed sobą maciorę z prosiętam, co ino pokwikiwały i rwały się tak, że trza je było cięgiem oganiać i stróżować, by pod wozy nie wpadły; jenszy zasie człapał się na szkapie; drugie oganiały wystrzyżone barany, gdzieniegdzie zaś bieliło się stadko gęsi z podwiązanemi skrzydłami, to grzebieniaste koguty wyzierały z pod zapasek kobiecych. A i wozy niezgorzej jechały wyładowane, raz w raz z jakiegoś półkoszka z pod słomy wyzierał ryj karmika i kwiczał, aż gęsi gęgały, zestrachane i psy, co szły zarówo z ludźmi, doszczekiwać poczynały przy wozach.

O dużym już dniu, kiej się tak przetarło na niebie, że ino ino słońca było patrzeć, wyszedł i Boryna z chałupy; przódzi już, bo o świtanio Hanka i Józka pognały maciorę i podpalononego wieprzka, a Antek powiózł dziesięć worków pszenicy i półkorczyk czerwonej koniczyny.

W domu ostawał tylko Kuba w Witkiem i Jagustynka, przywołana, żeby jeść uwarzyła i krów dojrzała.

Witek beczał w głos pod oborą, bo chciało mu się na jarmark.

— Czego się to głupiemu zachciewa! — mruknął Boryna, przeżegnał się i poszedł pieszo, bo liczył, że się po drodze przysiędzie do kogo; jakoż i zaraz tak się stało, bo tuż za karczmą dopędził go organista, jadący bryczką w parę tęgich koni.

— Cóż to? na piechty, Macieju?

— La zdrowia. Niech będzie pochwalony!

— Na wieki. Siadajcie z nami, zmieścimy się! — proponowała organiścina.

— Bóg zapłać. Doszedłbym, ale, jak powiedają, zawżdy milej duszy, kiej ją wóz ru-

szy! — odrzekł, sadowiąc się na przedniem siedzeniu, plecami do koni.

Podali sobie przyjaźnie ręce z organistami, i konie ruszyły.

Zaraz na skraju dopędzili Dominikową; jechała z Jagną i Szymkiem, a krowa uwiązana za rogi, szła za wozem, z którego wyglądały białe szyje gąsiorów ciągiem syczących, jako te żmije.

Pochwalili Boga, a Boryna aż się wychylił przy mijaniu i zawołał:

— Spóźnita się!

— Zdążym na czas! — odkrzyknęła Jagna ze śmiechem.

I skoro jeno wjechali na wyboisty bruk miasteczka, zesiadł Boryna z bryczki i jął dziękować za podwiezienie.

— Pod wieczór wracamy: chcecie, to się przysiądźcie do nas — rzekł organista.

— Bóg zapłać, mam przeciech swoje konie.

I zwolna przedzierał się przez główną ulicę do rynku, bo jarmark był sielny, i choć to jeszcze dość rano, a narodu już się gęstwiło niezgorzej; wszystkie ulice, place, zaułki i podwórza zawalone były ludźmi, wozami i towarem różnym. Niewielkie jeszcze po drodze błoto, tutaj bite i rozgrabiane tysiącami nóg, było już po kostki i tryskało z pod kół na wszystkie strony.

Jarmark był wielki, co się zowie, narodu skupiło się tyla, że przejść było niełatwo, a już w rynku, pod klasztorem, to Boryna przez siłę pchać się musiał, taki gąszcz się czynił między kramami.

Było też tego, było, że ani przeliczyć, ni objąć — gdzieby zaś tam kto poredził! A najpierwej te płócienne, wysokie budy, co stały wdłuż klasztoru we dwa rzędy, zapchane całkiem towarem kobiecym, a płótnami, a chustkami, co wisiały na żerdkach i jako te maki były czerwone, że aż się w oczach ćmiło, a drugie zasie całkiem żółte się widziały, a insze buraczkowe... i kto je tam wszystkie spamięta! A dzieuch i kobiet pełno tu przed niemi, że i kija nie było gdzie wrazić: która targowała i wybierała sobie, a drugie aby ino popatrzeć i oczy se ucieszyć ślicznościami. A potem znów szły kramy, co się aż lśniły od paciorków, lusterek, szychów, a wsążek, a fryzków onych na szyję, a kwiatuszków zielonych, złotych i różnych... a czepków i Bóg ta wie czego jeszcze!

Gdzie znowu święte obrazy przedawali w pozłocistych ramach i za szkłem, że choć stały pod ścianami, albo i zgoła na ziemi leżały, a szedł od nich blask, że jaki taki do czapki sięgał i znak krzyża czynił świętego; a wszędy Żydy i spasione Żydowice i handlarze różne krzyczały, ciągały za wełniaki, za kapoty, zachwalały, kłóciły się i tak szwargotały, że jaże uszy bolały od wrzasku.

Boryna kupił jedwabną chustkę na głowę dla Józi, którą był jeszcze na zwiesnę obiecał dziewczynie za pasionkę, wsadził za pazuchę i jął się przepychać do targowiska świńskiego, co było za klasztorem.

Ale szedł wolno, że to ciżba była sroga i że popatrzeć było na co.

Przejrzał to wszystko Boryna, podziwował się nad niejednem, pogwarzył coś niecoś ze znajomymi i dopchał się wreszcie na targowisko świńskie, za klasztor, na ogromny piaszczysty plac, zrzadka ino obsadzony domami, gdzie pod samym murem klasztoru, z za którego pochylały się ogromne dęby, pełne jeszcze żółtych liści, kupiło się dosyć ludzi, wozów i leżały całe zagony świń spędzonych na sprzedaż.

Rychło odnalazł Hankę z Józką, bo zaraz z kraja były.

— Sprzedajeta? co?

— Hale! już tu targowali rzeźnicy maciorę, ale mało dają...

— Świnie drogie?

— Bogać tam drogie!... spędzili tyla, że niewiada, kto to rozkupi.

— Są ludzie z Lipiec?

— O, hań tam mają prosięta Kłęby, a i Szymek Dominików stoi przy wieprzu.

— Uwińta się rychło, to se ździebko popatrzycie na jarmark.

— Już też i ckno tak siedzieć.

— Wiele dają za maciorę?

— Trzydzieści papierków; powiadają, że nie dopasiona, bo ino w gnatach gruba, a nie w słoninie.

— Ocyganiają jak ino mogą.. Ale! ma ci słoninę na jakie cztery palce — rzekł, omacawszy maciorze grzbiet i boki. — Wieprzek chudy na bokach, ale portki ma niezgorsze, na szynki! — dodał, spędziwszy go z mokrego piasku, w którym do pół boków leżał zanurzony.

— Za trzydzieści pięć sprzedacie. Zajrzę do Antka ino i zaraz do waju przylecę. Jeść wam się nie chce?...

— Pojadłyśmy już chleba.

— Kupię wama i kiełbasy, ino sprzedajcie, a dobrze.

— Tatulu, a nie zabaczcie o chustce, coście to jeszcze na zwiesnę obiecali!

Boryna sięgnął za pazuchę, ale się wstrzymał, jakby go coś tknęło, bo tylko machnął ręką i rzekł odchodząc:

— Kupię ci, Józiu kupię... — i aż w dyrdy ruszył, bo ano mignęła mu twarz Jagny między wozami, ale nim doszedł, zczezła gdzieś do cna, jakby się z ziemią zapadła. Jął więc odszukiwać Antka; niełacno to było, bo w tej uliczce, prowadzącej z targowiska na rynek, stał wóz przy wozie, i to w rzędów parę, że środkiem i z trudem niemałym, a baczeniem można było przejechać, ale wnet się na niego natknął. Antek siedział na workach i smagał batem żydowskie kury, co się stadami uwijały koło kobiałek, z których jadły konie, a półgębkiem odpowiadał kupcom:

— Powiedziałem: siedem, to powiedziałem.

— Sześć i pół daję; więcej nie można, pszenica ze śniecią.

— Jak ci, parchu, lunę przez ten pysk paskudny, to ci wnet zaśniecieje... Ale! pszenica czysta, jak złoto!

— Może być, ale wilgotna... kupię na miarę i sześć rubli i pięć złotych.

— Kupisz na wagę i po siedem, rzekłem!

— Co się gospodarz gniewa! kupię nie kupię, a potargować można!

— A targuj się, kiej ci pyska nie szkoda.

I nie zwracał już uwagi na żydów, którzy rozwiązywali worki po kolei i oglądali przenicę.

— Antek — rzekł ojciec — pójdę ino do pisarza i w to oczymgnienie przyjdę do cię.

— Co! na dwór skargę podajecie?

— A bez kogo to padła moja graniasta?

— Dużo ta wskóracie!

— Swojego darować nie daruję.

— I!... borowego przyprzeć gdzie w boru do chojaka, sprać czem twardem, żeby mu aż żebra zapiszczały, zaraz byłaby sprawiedliwość.

— Borowy? Jużci, że mu się to należy, ale dworowi też — rzekł twardo.

— Dajcie mi złotówkę.

— Na co ci?

— Gorzałkibym się napił i przegryzł co...

— Nie masz to swoich?... Cięgiem ino w ojcową garść uważasz...

Antek odwrócił się gwałtownie i jął pogwizdować ze złości, a stary chociaż z żalem i markotnością, wysupłał złotówkę i dał.

Zaraz jakoś, przy czapnikach natknął się na Jagnę.

Stała w czapce granatowej na głowie, a drugą jeszcze targowała.

— Obaczcie-no, Macieju, bo ten żółtek powiada, że dobra, a pewnikiem cygani.

— Galanta. La Jędrzycha?

— Juści, Szymkowi już kupiłam.

— Nie za mała to będzie?

— Takusieńką ma ci głowę kiej moja.

— Piękny z ciebie byłby parobeczek.

— Abo i nie! — zawołała zuchowato, bakierując nieco czapkę.

— Wnetkiby cię tu godziły do siebie...

— Hale... inom za droga do służby!

Zaczęła się śmiać.

— Jak któremu... mnieby ta za droga nie była.

— I w polu robićbym nie robiła.

— Robiłbym ja za ciebie, Jaguś, robił...— szepnął ciszej i tak spojrzał na nią namiętnie, aż dziewczyna cofnęła się zakłopotana i już bez targu zapłaciła za czapkę.

— Sprzedaliście krowę? — zapytał po chwili, opamiętawszy się nieco i wytchnąwszy z onej lubości, co mu jak gorzałka buchnęła do głowy.

— Kupili ją la księdza do Jerzowa. Matka poszła z organistami, bo chcą zgodzić parobka.

— A to my sobie choćby na ten kieliszek słodkiej wstąpimy!...

— Jakże to?...

— Zziębłaś, Jaguś, to się ździebko ogrzejesz?...

— Gdziebym zaś z wami szła na wódkę!...

— A to przyniese i tutaj się napijem, Jaguś?...

— Bóg zapłać za dobre słowo, ale mi matki trza poszukać.

— Pomogę ci, Jaguś — szepnął cichym, zdławionym głosem i poszedł przodem, a tak robił łokciami, że Jagna swobodnie szła za nim skroś ciżby, ale gdy weszli między płócienne kramy, dziewczyna zwolniła, przystawała, i aż jej oczy rozgorzały do tych różności porozkładanych.

— To ci śliczności, mój Jezu kochany!— szeptała przystając przed wstążkami, które, uwieszone w górze, kołysały się na wietrze, niby tęcza paląca.

— Która ci się widzi, Jaguś, to se wybierz — rzekł po namyśle, przezwyciężając skąpstwo.

— Hale! ta żółta w kwiaty z rubla kosztuje, albo i z dziesięć złotych!

— Nie twoja w tem głowa, weź ino.

Ale Jaguś przez siłę i z żalem oderwała ręce od wstążki i poszła dalej do drugiego kramu. Boryna ino pozostał na chwilę.

A w tym znowu chustki były i materye na staniki i kaftany!

— Jezus mój, jakie śliczności, Jezus! — szeptała oczarowana i raz w raz zanurzała ręce drżące w zielone atłasy, to w czerwone aksamity, i aż się jej ćmiło w oczach, i serce dygotało z rozkoszy.

A te chustki na głowę! Ponsowe jedwabne z zielonemi kwiatami przy obrębku; złociste całe, kiej ta święta monstrancya; a modre jako to niebo po deszczu; a białne; a już najśliczniejsze te mieniące, co się lśkniły kiej woda pod zachodzącem słońcem, a lekkie, kieby z pajęczyny!

Nie, nie ścierpiała i jęła przymierzać na głowę, a przeglądać się w lusterku, które przytrzymywała żydówka.

Ślicznie jej było, jakoby zorzę namotała na swoich lnianych włosach; a one modre oczy tak rozgorzały z radości, aż fijołkowy cień padał od nich na twarz pokraśniałą; uśmiechała się do siebie, aż ludzie poglądali na nią, taka była urodna, i taka młodość i zdrowie biły od niej.

— Dziedzicówna jaka przebrana czy co? — szeptali.

Przyglądała się sobie długo i z ciężkiem westchnieniem zdjęła chustkę, ale wzięła się targować, choć kupić nie miała, a ino tak sobie, żeby oczy dłużej nacieszyć.

Ostygła wnetki, bo kupcowa powiedziała pięć rubli, że i sam Boryna jał ją zaraz odwodzić.

Potem wyjął z zanadrza dla Józi kupioną chustkę i coś jeszcze w papier owinięte.

— Potrzymaj-no to, Jaguś, bo mnie trzeba zajrzeć do Antka.

— Jest to na jarmarku? — oczy jej pojaśniały.

— Ostał przy zbożu, tam ano w ulicy. Weź sobie, Jaguś, to la ciebie — dodał, widząc, że Jagna zdumionemi oczyma wodziła po chustce.

— Dajecie? Naprawdę la mnie? Jezus, jakie śliczności! — wyrzyknęła, rozwijając wstążkę tę samą, co się jej tak podobała. — Hale! ino tak przekpiwacie se ze mnie!... za cóżby mnie! Kosztuje tyla pieniędzy... a chustka czysto-jedwabna.

— Weź, Jaguś, weź, la ciebie kupiłem, a jak ta któren parobek będzie przepijał do ciebie, nie odpijaj!... na co się spieszyć?... Mnie już czas iść.

— Moje to? prawdę mówicie?

— Zaśbym tam ocyganiał cię!

— I uwierzyć trudno — i rozkładała ciągle chustkę, to wstążkę.

— Ostaj z Bogiem, Jaguś.

— Bóg Wam zapłać, Macieju.

Boryna odszedł — a Jagna raz jeszcze rozwinęła i przepatrywała, naraz rozwinęła wszystko razem i chciała bieżyć za nim i oddać — bo jakże jej brać od obcego?... nie krewny żaden, ni pociotek nawet... — ale już starego nie było.

Pociągnęła wolno szukać matki i z lubością, ostrożnie dotykała chustki wsadzonej za pazuchę. Taka była uradowana, że ino jej białe zęby połyskiwały w uśmiechu, a twarz gorzała rumieńcem.

I jarmark dobiegał już końca.

W samo południe zaświeciło słońce, ale tylko tyle, coby kto lustrem mignął po świecie, i zaraz się schowało za chmury; a już przed wieczorem sposępniało na świecie, chmurzyska wlekły się nizko, że prawie na dachach leżały i drobny deszcz jął siac kiej przez gęste sito. To i rozjeżdżali się prędzej, każdy spieszył do dom, żeby prędzej się dostać przed nocą i większą pluchą.

I handlarze rychlej zdejmowali kramy i pakowali się na wozy, że to deszcz zacinał coraz gęstszy i zimniejszy.

Mrok zapadał prędko, ciężki i mokry.

Miasteczko pustoszało i milkło.

Tylko dziady jeszcze gdzieniegdzie pojękiwali z pod ścian, i w karczmach podnosiły się wrzaski pijaków i kłótnie.

Jakoś już o samym wieczorze wyjechali z miasta Borynowie; sprzedali wszystko, co mieli, pozakupowali różności i użyli jarmarku co się zowie. Antek podcinał konie i jechał, aż się błoto otwierało, bo i ziąb był, i podpili sobie wszyscy niezgorzej: stary, choć skąpy był i aż piszczał za groszem, a tak ich dzisiaj ugaszczał i jadłem i napitkiem, i tem dobrem słowem, że aż dziwno było.

Noc się zrobiła zupełna, gdy dojechali do lasu.

Ciemno było, że choć oko wykol; deszcz padał coraz grubszy, i gdzieniegdzie po drodze rozlegały się turkoty wozów i ochrypłe śpiewy pijaków, albo ktosik człapał się wolno po błocie.

A środkiem topolowej drogi, co ino szumiała głucho i pojękiwała, jakby z zimna, szedł Jambroży pijany już całkiem, taczał się z boku na bok, czasem utknął na drzewo, abo i w błoto, ale się rychło podnosił i ciągiem podśpiewywał na całe gardło, jak to miał we zwyczaju.

Plucha szła taka i ciemność, że koniom ogonów nie rozeznał, a światła wsi widziały się ledwie jako to wilczych ślepiów migotanie.

VI.

Deszcze się rozpadały na dobre.

Szły nieskończone, zimne, przenikające szarugi miesięczne.

Siwe, lodowate bicze deszczów siekły bezustannie ziemię i przesiąkały do głębi, aż drzewo każde, źdźbło każde dygotało w bezmiernym bólu.

Drogi opustoszałe rozlały się w błotniste, gnijące kałuże.

Przerażająca cichość ogarnęła ziemię.

Umilkły pola, przycichły wsie, ogłuchły bory.

Wsie poczerniały i jakby silniej przywarły do ziemi, do płotów, do tych sadów nagich, poskręcanych i jęczących zcicha.

Deszcz mżył bezustannie, jakoby kto drobnem szkliwem przysłaniał świat, że Lipce całe tonęły w gęstych szklistych tumanach szarugi, z pod której tylko gdzieniegdzie czerniały dachy, to obmokłe płoty kamienne, lub te brudne kołtuny dymów, co się wiły nad kominami i wlekły po sadach.

Cicho było we wsi, tylko gdzieniegdzie młócono po stodołach, ale zrzadka, bo wieś cała była na kapuśniskach.

Cała wieś była zajęta wycinaniem i zwożeniem kapusty, pełno jej było po klepiskach, sieniach i izbach, a jak u niektórych i pod okapami siniały kupy główek.

Przed domami, wystawione na deszcz, mokły ogromne beczki.

Spieszono się na gwałt, bo deszcz prawie nie ustawał, a drogi robiły się grzązkie, nie do przebycia.

I u Dominikowej dzisiaj wycinano.

Już od rana pojechała na kapuśniska Jagna z Szymkiem, bo młodszy Jędrzych ostał i łatał ano dach, że to przeciekał w kilku miejscach.

Pod wieczór to już było i jakby się zdziebko mroczeć zaczynało, to stara raz w raz wychodziła przed dom i patrzała we mgły, ku młynowi i nasłuchiwała: czy nie jadą jeszcze!..

A na kapuśniskach, leżących nizko za młynem, w torfowiskach, wrzała jeszcze na dobre robota.

Jagna skończyła dopiero co swój zagon, zmęczona była srodze, głodna i przemoczona do skóry, bo nawet i trepy zapadały się w rudy, torfiasty grunt, po kostki, że raz w raz je zezuwała, żeby wylać wodę.

— Szymek, adyć się ruchaj prędzej, bo już kulasów nie czuję! — wołała żałośnie, a widząc, że chłopak nie może sobie zadać, wyrwała mu niecierpliwie ogromny toboł, zarzuciła go na plecy i poniosła na wóz.

— Parobek z ciebie tyli, a miętki jesteś w grzbiecie, kiej kobieta! — szepnęła pogardliwie, wsypując kapustę do półkoszków, wysłanych słomą.

Szymek, przywstydzony, mamrotał coś pod nosem, skrobał się po kołtunach i zaprzęgał konia.

— Śpiesz się Szymek, bo noc! — nagaganiała go, znosząc co chwila kapustę na wóz.

Jakoż i noc nadchodziła, mrok gęstniał i czerniał, a deszcz się wzmagał, że tylko pluskało po rozmiękłej ziemi i rowach, jakby kto ziarnem sypał.

Mrok zapadał prędko, że ledwie konia widać było; deszcz jakby przestał, tylko mokra, ciężka mgła wisiała, że oddychać było ciężko, a górą szumiał głucho wiatr i bił w drzewa na grobli, do której dojeżdżał właśnie wóz z kapustą Jagny.

Podjazd na groblę był ciężki, bo stromy i ślizki, koń utykał i co krok przystawał odpoczywać, że ledwie zdzierżeli wóz, żeby nie uciekł.

— Nie trza było tyle kłaść na jednego konia! — ozwał się jakiś głos z grobli.

— To wy, Antoni?

— Juści.

— A pośpieszajcie, bo już tam Hanka was wypatrują. Pomóżcie nam!

— Poczekajcie, niech ino zejdę, to pomogę. Pomroka taka, że nic nie widać.

Wjechali zaraz na groblę, bo tak potężnie podparł, aż koń ruszył z kopyta i zatrzymał się dopiero na wierzchu.

— Bóg wam zapłać, ale też mocni jesteście, że laboga! — wyciągnęła do niego rękę.

Zamilkli nagle, wóz ruszył, a oni szli koło siebie, nie wiedząc co mówią, zmieszani dziwnie oboje.

— Wracacie to? — szepnęła cicho.

— Ino cię do młyna odprowadzę, Jaguś, bo tam w drodze woda wyrwę zrobiła.

— To dopiero ciemnica, co? — wykrzyknęła.

— Boisz się Jaguś, co? — szepnął, przysuwając się bliżej.

— Hale! bałabym się ta...

Znowu zamilkli i szli tak przy sobie, że biodro w biodro, ramię w ramię.

— A oczy to się wam świecą, jak temu wilkowi... aże dziwno...

— Będziesz w niedzielę na muzyce u Kłębów?...

— A bo to matka mi dadzą!...

— Przyjdź, Jaguś, przyjdź! — prosił cichym, przyduszonym głosem.

— Chcecie to? — zapytała miękko, zaglądając mu w oczy.

— Laboga, adyć ino la ciebie zgodziłem skrzypka z Woli i la ciebie namówiłem Kłęba, żeby dał chałupy, la ciebie, Jaguś... — szeptał i tak przysuwał twarz do jej twarzy i dyszał, aż się cofnęła nieco i zadygotała ze wzruszenia.

— Idźcie już... czekają na was... jeszcze kto nas obaczy... idźcie...

— A przyjdziesz?...

— Przyjdę... przyjdę...

Powtórzyła, obzierając się za nim, ale już zniknął we mgle, tylko odgłos jego kroków słychać było po błocie.

Dreszcz nią wstrząsnął gwałtowny i coś jak płomień wichrem przeleciało przez serce i głowę, aż się zatoczyła. Ani wiedziała co się jej stało, oczy ją paliły, jakby zasypane żarzewiem, tchu złapać nie mogła, ni przyciszyć serca namiętnie bijącego; rozkładała ręce bezwiednie, jak do obejmowania, rozprężała się w sobie, bo ją brały takie szalone ciągotki, że omal nie krzyczała...

— Smok nie chłop... chyba takiego drugiego we świecie niema — myślała bezładnie.

Oprzytomnił ją turkot młyna, obok którego przejeżdżali i szum wody płynącej na koła i z pod stawideł otwartych, bo przybór był ogromny.

Dowlekli się wreszcie do chałupy.

W izbie widno było i ciepło, ogień buzował się wesoło na trzonie; Jędrzych obierał ziemniaki, a stara nastawiała wieczerzę.

Jakiś stary, siwy człowiek grzał się przy kominie.

— Skończyliście, Jaguś?

— A ino, telo że ta ździebko, może ze trzy płachty, ostało na zagonie.

Poszła do komory się przebrać i wkrótce już się zwijała po izbie i narządzała jedzenie, pilnie poglądając i ciekawie na starego, któren siedział w głębokiem milczeniu, patrzał w ogień, przebierał ziarna różańca i poruszał ustami.

A gdy siadali do kolacyi, stara położyła łyżkę dla niego i zapraszała.

— Ostajcie z Bogiem... zajrzę tu jeszcze, to może i w Lipcach ostanę na dłużej...

Klęknął na środku izby, pochylił się przed obrazami, przeżegnał i wyszedł.

— Kto to? — zapytała Jagna zdziwiona.

— Wędrownik ci to święty, od Grobu Jezusowego idzie... Dawno go znam, bo już tu nieraz bywał i przynosił świętości różne. Jakoś ze trzy roki temu.

Nie skończyła, bo wszedł Jambroży, pochwalił Boga i usiadł przed kominem.

— Ziąb taki i plucha, że aże mi moja drewniana noga skostniała.

— Wam też po nocy i takiem błocku łazić... nie siedzielibyście to w chałupie i pacierz se przepowiadali!... — mruczała Dominikowa.

— Ckniło mi się samemu, tom do dzieuch wyszedł i do ciebie, Jaguś, pierwszej wstąpiłem.

— Kostucha waszej dziewusze na imię.

— Z młodszymi hula, a o mnie całkiem zabaczyła!...

— Ale? — zagadnęła Dominikowa pytająco.

— Prawdę mówię. Dobrodziej był z Panem Jezusem u Bartka za wodą...

— Cie... na jarmarku widziałam go zdrowym.

— Zięciaszek ci go tak sprał kołkiem, że aż mu wątpia odbił.

— O cóż? kiedy?...

— A o cóżby, jak nie o gront? Wadzili się już z pół roku, aż się i dzisiaj w połednie porachowali.

— Że to kary boskiej niema na tych zabijaków! — ozwała się Jagna.

— Przyjdzie, nie bój się, Jaguś, przyjdzie — rzekła twardo stara, wznosząc oczy na obrazy święte.

— A kto już pomarł, nie wstanie — szepnął Jambroży cicho.

— Siadajcie do miski, zjecie co jest.

— Nie od tegom, nie. Miseczce jednej, bele dużej, poredzę jeszcze — podkpiwał.

— Wam to ino przekpiwanie w głowie i zabawa.

— Tyla i mojego, tyla! Na cóż mi turbacye? hę?

Obsiedli ławkę, na której stały miski i jedli wolno w milczeniu. Jędrzych pilnował, żeby dokładać i dolewać, tylko Jambroży raz po raz powiadał to jakie słowo ucieszne i sam się śmiał najbardziej, bo chłopaki, chociaż rade były się pośmiać, bali się srogiego wzroku matki.

Powstali od kolacyi. Jagna ze starą siadły do kądzieli przed kominem, a synowie, jak zwykle, zajęli się sprzątaniem, myciem naczyń i obrządkiem.

Tak już zawdy u Dominikowej było, że synów swoich dzierżyła żelazną ręką i rychtowała ich na dziewki, żeby ino Jagusia rączków sobie nie pomarała.

Jambroży zapalił fajkę, pykał w komin, to

poprawiał głownie i dorzucał gałęzi i raz w raz spoglądał na kobiety, ważył cosik w głowie i układał.

— Były pono u was swaty?

— A bo to jedne!

— Nie dziwota: Jagna kiej malowana. Dobrodziej powiedział, że i w mieście nie spotkać piękniejszej.

Jagna poczerwieniała z uciesznośoi.

— Tak powiedział! Niech mu Bóg da zdrowie! Dawno się już zbierałam zanieść na wotywę, dawno, ale jutro zaraz zaniesę.

— Przysłałby tu jeszcze ktoś z wódką, ino się boją zdziebko — zaczął po cichu.

— Parobek? — zapytała stara, nawijając na furkoczące po podłodze wrzeciono.

— Gospodarz na całą wieś, rodowy... ale wdowiec.

— Dziecków cudzych kolebała nie będę.

— Odchowane, nie bój się, Jagna, odchowane!

— Co jej tam po starym... ma jeszcze lata... poczeka se na młodego, jak się jej uda jaki.

— Takiego nie braknie: a bo to młodych brak? Jak świece chłopaki, papierosy palą, w karczmie tańcują, gorzałkę piją i ino patrzą za dzieuchami, która jakie morgi ma i trochę gotowego grosza, żeby balować było za co... Gospodarze juchy, do połednia śpią, a po połedniu taczkami gnój wożą i motyczkami orzą pole.

— Na poniewierkę takiemu Jagny nie dam.

— Nie próżno mówią, żeście we wsi najmądrzejsza...

— Ale i za starym też uciechy nijakiej dla młodych.

— A bo to do uciechy niema młodych?

— Starzyście kiej świat, a pstro wama jeszcze we łbie — powiedziała surowo.

— I... gada się, byle ozór nie skiełczał.

Zamilkli na długo.

— Stary uszanuje i na cudzy grosz nie łasy — podjął znowu Jambroży.

— Nie, nie, ino obraza boska z tego bywa.

— Mógłby zapis zrobić — rzekł seryo, wytrząsając fajkę na trzon.

— Jagna ma dosyć swojego — odpowiedziała po chwili, wahająca już i niepewna.

— Więcejby on dał niźli wziął, więcej.

— Rzekliście?

— Co wiadomo, nie z wiatru wziąłem, ani z pomyślonku, nie od siebie przyszedłem...

Milczeli znowu. Stara oglądała długo rozwichrzoną kądziel, potem pośliniła palce i jęła wyciągać lniane włókna lewą ręką, a prawą puszczała w wir wrzeciono, że z warczeniem, kieby bąk, kręciło się po podłodze i furkotało.

— Jakże? ma to przysłać?

— Któren?

— Nie wiecie to? A dyć tamten!

Wskazał przez okno światło, ledwie migocące przez staw u Boryny.

— Dorosłe dzieci, dobrego słowa nie dadzą i prawa do swoich części mają.

— Ale może zapisać to, co jego... jakże?... A chłop dobry i gospodarz nie byle jaki, i pobożny, i krzepki jeszcze, sam widziałem, jak se korzec żyta zadawał na plecy. Już tamby Jagnie nic nie brakowało, chyba tego ptasiego mleka...

— Jak ci się widzi, Jaguś?...

— Mnie to wszystko jedno, każecię, to pójdę... Wasza w tem głowa nie moja... — mówiła cicho, wsparła czoło na kądzieli i zapatrzyła się w ogień bezmyślnie i słuchała wesołego trzaskania gałązek.

Ten czy tamten, wszystko było jej zarówno. Wstrząsnęła się tylko nieco na przypomnienie Antka.

— Jakże? — pytał Jambroży, powstając z ławki.

— Niech przysyłają... zrękowiny nie ślub jeszcze — odrzekła wolno.

Jambroży pożegnał się i poszedł prosto do Boryny.

Jagna wciąż siedziała nieruchoma i milcząca.

— Jaguś... córochno... co?...

— A nic... wszyćko mi zarówno... każecie, to pójdę za Borynę... a nie, to ostanę przy was... Bo mi to źle z wami?...

Stara przędła dalej i mówiła cicho:

— Najlepiej chcę la ciebie, najlepiej. Juści, że stary on jest, ale krzepki jeszcze, to prawda, i ludzki, nie tak jak drugie chłopy: uszanuje cię... Panią se będziesz u niego, gospodynią... A jak zapis zrobi, to już go tak narychtuję, żeby gront wypadł wpodle naszego, koło żyta pod górką... a choćby i ze sześć morgów zapisał... Słuchasz to?... Ze sześć morgów! A trza ci iść za chłopa.. trza... po co mają wygadywać na ciebie i na ozorach obnosić po wsi?... Wieprzkaby się zabiło... A może i nie... może...

Umilkła i już w głowie układała sobie resztę, bo Jaguś jakby nie słyszała jej słów, przędła machinalnie, i jakby jej nic nie obchodził los własny, tak nie myślała o tem zamęźciu.

I długo tak siedziała w milczeniu, ino te oczy gwiezdne świeciły się kiej spokojne wody w wiośniane południe, aż ocknęła się znagła, bo ktosik otwierał drzwi do sieni.

Wbiegła Józka zadyszana, przypadła do komin, wylewała z trepów wodę i rzekła:

— Jaguś, jutro u nas obieranie. Przyjdziesz?

— Przyjdę.

— W izbie będziemy obierali. Jambroży tam siedzą u tatula, tom się chyłkiem wyrwała na wieś, żeby ci powiedzieć. Będzie Ulisia, i Marysia, i Wikta, i Pociotkowe, i drugie... I chłopaki przyjdą... Pietrek obiecał się ze skrzypicą.

— Któren to?

— A Michałów, co za wójtem siedzą, co to w kopaniu przyszedł z wojska... i tak mówi pokracznie, że go i wymiarkować trudno...

Natrzepała, co ino mogła i poleciała do dom.

Cisza znowu objęła izbę.

VII.

Nazajutrz dzień był tak samo zadeszczony i posępny.

Co chwila ktoś wychodził z jakiej chałupy i długo a frasobliwie poglądał w omglony świat, czy się gdzie nie przejaśnia, ale nic, kromie burych chmur, płynących tak nizko, że darły się o drzewa, widać nie było; deszcz mżył bezustannie, tyle, że jakoś zaraz z południa przeszedł w ulewę, jakoby kto upusty niebieskie otworzył, że ino dudniło po dachach.

Ludzie się kwasili po chałupach, jaki taki lazł po tem błocie i deszczu do sąsiadów na wyrzekanie, że to czas taki, co i psa na dwór wygonić trudno, a tu niejeden ściółkę miał jeszcze w lesie, kto znów drzew nie zwiózł, a insze, bezmała wszystkie prawie — niedociętą w polu kapustę, po którą i nie wyjechać dzisiaj, bo ano staw tak przybrał w nocy, że musieli do dnia wywrzeć stawidła i puścić wodę do rzeki, która i przez to rozlała się szeroko, aż łąki stanęły pod wodą, a kapuśniska jako te wyspy czerniały się grzbietami zagonów z pośród siwej, śpienionej topieli.

U Dominikowej też nie zwieźli tej reszty, jaka w polu ostała.

Jagna już od rana nie mogła dać sobie rady, chodziła ino z kąta w kąt, to patrzała przez okna na tę krzę giergini, powaloną przez falę, w ten świat zadeszczony i wzdychała żałośnie.

Dominikowej nie było od samego rana, bo ją wezwali do chorej kobiety na drugi koniec wsi, jako że lekującą była i znającą się na chorobach.

A Jagnę aż podrywało, żeby gdzie bieżyć we świat, do ludzi, ale co się przyodziała na głowę w zapaskę i wyjrzała za próg na błoto i pluchę, to się jej odechciewało wszystkiego... że w końcu aż się jej płakać chciało z tej jakiejś dziwnej tęskności... To nie mogąc sobie poradzić, otworzyła swoją skrzynkę i jęła z niej wyjmować a rozkładać po łóżkach przyodziewek świąteczny... aż poczerwieniało w izbie od wełniaków pasiatych... zapasek... kaftanów... ale nie cieszyło jej to dzisiaj, nie... patrzała obojętnym, znudzonym wzrokiem na dobro swoje, tylko wyciągnęła z pod spodu chustkę Borynową i wstążkę, ustroiła się i długo przeglądała się w lusterku.

— Niezgorzej... trza się na wieczór w to przyodziać... — pomyślała.

. . . .

U Boryny już było sporo ludzi.

Ogień buzował się na kominie i rozświetlał ogromną izbę, aż lśniły się szkła od obrazów i kołysały się te światy czynione z kolorowych opłatków i na nitkach wiszące u czarnych okopconych belek; na środku izby leżała kupa czerwonej kapusty, a w półkole szeroko zatoczone, twarzami do ognia, siedziały rzędem dziewczyny i kilka kobiet starszych; obierały z liści kapustę, a główki rzucali na rozesłaną pod oknem płachtę.

Jaguś ogrzała ręce przy kominie, ostawiła trepy pod oknem i siadła zaraz z kraju przy starej Jagustynce i jęła się roboty.

Gwar się też w miarę podnosił, bo przybywało jeszcze kobiet i parobków, którzy z Kubą znosili kapustę ze stodoły, ale częściej kurzyli papierosy i szczerzyli zęby do dziewczyn, a prześmiewali się społecznie.

Józka, choć to i skrzat był jeszcze, a rej wodziła i w robocie, i w śmiechach, bo starego nie było, a Hanka, jak to zwyczajnie, kiej ta ćma łaziła, abo mruk.

— Czerwono w izbie, jakby od makowych kwiatów! — zawołał Antek, bo był wtaczał do sieni beczki, a teraz ustawiał przed kominem, z boku nieco szatkownicę.

— Bo zestroiły się kiej na wesele! — ozwała się któraś starsza.

— A Jaguś, to kiejby ją kto w mleku wymył, tak wygląda! — zaczęła złośliwie Jagustynka.

— Poniechajcie — szepnęła czerwieniąc się.

— Cieszta się, dziewczyny, bo już Mateusz przywędrował ze świata: zaraz się tu zaczną muzyki, a tańce, a wystawanie po sadach.. — ciągnęła stara.

— Całe lato go nie było.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie.
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.